

**KŁAMIĘ,
WIĘC JESTEM**

TOMASZ KOZŁOWSKI

KŁAMIĘ, WIĘC JESTEM

W POSZUKIWANIU POCZĄTKÓW
SAMOŚWIADOMOŚCI

BIBLIOTEKA
moderatora 

Taszków 2007

Redaktor serii:
Tomasz Witkowski

Opracowanie redakcyjne
tekstu i korekta:
Jacek Czarnik

Projekt graficzny serii:
Krzysztof Albin

Ilustracja na okładce:
Marek Tybur

Projekty stron tytułowych
i łamanie komputerowe:
Jacek Czarnik

Copyright © 2007 by Tomasz Kozłowski

Wydanie pierwsze

MODERATOR
tel. 074 86 98 202, e-mail: moderator@moderator.wroc.pl
www.moderator.wroc.pl

ISBN 978-83-923427-0-0

Druk i oprawa:
ABEDIK S.A., Poznań

Rodzicom

SPIS TREŚCI

Podziękowania	9
Na początek	11
<i>Trudność pierwsza: omijanie przeszkód</i>	11
<i>Trudność druga: biała plama</i>	13
ROZDZIAŁ I – JA, CZYLI KTO?	17
<i>Co mówi nam ewolucja?</i>	23
<i>Inżynieria wspan</i>	27
<i>Dobór wedle upodobań</i>	30
<i>Architektura umysłu</i>	32
<i>Nie ma się czego bać!</i>	41
<i>Czym świadomość różni się od samoświadomości?</i>	43
<i>Niezbędna dygresja: czy możemy utożsamić samoświadomość z jaźnią?</i>	59
ROZDZIAŁ II – SAMOŚWIADOMOŚĆ I ŻYCIE SPOŁECZNE	63
<i>Problemy związane z filogenezą samoświadomości</i>	69
<i>Poza model standardowy</i>	72
<i>Jak rozpoznać świadome? Język? Emocje? Precyzja?</i>	76
<i>Percepcja? Plastyczność? Adekwatność?</i>	79
<i>Kiedy warto „włączyć” świadomość?</i>	86
<i>Ktoś tu był, czyli świat z zamiarów – możliwe wyjaśnienie świadomości?</i>	89
<i>Samoświadomość a altruizm odwzajemniony</i>	91
<i>Jak rozpoznać darczyńcę?</i>	92
<i>Jak uniknąć oszustwa?</i>	95
<i>Jak zaglądać innym w umysł i przy okazji zarabiać?</i>	106
ROZDZIAŁ III – ZOBACZYĆ UMYŚŁ	113
<i>Ekologia umysłu</i>	116
<i>Od małpy do Machiavellego i z powrotem</i>	120
<i>Alternatywne wyjaśnienia genezy i funkcji teorii umysłu</i>	124
<i>Rób to, co ja!</i>	124
<i>Kilka przystanków na drodze do teorii umysłu</i>	129

<i>Zmiana jakościowa w interpretacji zachowań</i>	140
Czy moduł teorii umysłu potrzebny jest, by rozpoznać emocje?	140
Czy powrót do schematu bodziec-reakcja może się udać?	144
<i>Kierunek: samoświadomość</i>	148
Wielkie udawanie, czyli prywatny zestaw nieszkodliwych kłamstw	149
<i>Jak uczymy się kultury?</i>	153
Od przybytku głowa boli	154
Momenty wspólnej uwagi i kultura w pełnym wymiarze godzin	156
Rewolucja językowa	158
Od wspólnej uwagi do smopoznania	160
<i>Jak moduł teorii umysłu wpływa na organizację społeczną?</i>	163
<i>Autyzm i uczestnictwo w kulturze</i>	171
ROZDZIAŁ IV – CO MÓWIĄ NAM PRZEDSZKOLAKI	175
Od kieszonkowca do psychologa	178
Czego nie powie nam lustro?	181
<i>Jak dzieci wnioskują o świecie?</i>	185
Jak żyć w świecie bez teorii umysłu?	195
<i>Związek pomiędzy obecnością modułu teorii umysłu a samoświadomością dziecka</i>	198
Samoświadome = gadatliwe?	199
Ja, czyli on	203
Kilka „ale”	205
<i>Od kłamstw do kpin</i>	207
<i>Jak dalece uzasadniona jest behawiorystyczna interpretacja zachowań trzylatka?</i>	211
<i>Skojarzenia</i>	213
<i>Przestrzenne, czasowe i normatywne ograniczenia poznawcze</i>	216
Rysunek, który sam się rysuje	220
Autoportret: szkoła (o wiele) wyższej jazdy	225
<i>Dynamika zabawy i stosunki interpersonalne</i>	228
Razem, a jednak osobno	232
Czy papierek może udawać?	235
Zakończenie	241
Literatura	247

PODZIĘKOWANIA

Socjolog – facet w luźnym swetrze, jeśli w marynarce, to bez krawata, często opowiada o reakcjach społeczeństwa na wszelakiej maści nowinki, czy to ze świata nauki, sztuki czy polityki. Od tego stereotypu musiałem chyba nieco odstawać, kiedy ze swoimi narzędziami badawczymi udawałem się nie pośród dorosłych ludzi, ale kilkuletnie maluchy. Nierzadko obwieszony małymi respondentami jak choinka z trudem łapałem równowagę. Odbiegało to trochę od moich wcześniejszych wizji badań socjologicznych. Nie zadawałem im pytań z ankiety, tylko pokazywałem obrazki i słuchałem, co na ich temat mają do powiedzenia, a następnie obserwowałem, jak wyglądają kontakty dzieci z czymś, co moi koledzy i koleżanki po fachu określiliby „środowiskiem społecznym”. Podpatrywanie jak mały człowiek zaczyna stawać się istotą społeczną i rozumieć cokolwiek z owego eterycznego wszechbytu, który zwiemy kulturą, okazało się fascynującą przygodą. Wszystkim, którzy służyli mi wsparciem zarówno w czasie moich obserwacji, jak i w przygotowywaniu poniższej książki, pragnę gorąco podziękować.

W pierwszych słowach – prof. Tomaszowi Szlendakowi, mojemu mentorowi, który miał dość cierpliwości, by co nieco we mnie zaszczyć oraz niektóre moje pomysły tu i ówdzie przyczesać. Taki szef to skarb.

Dr hab. Marcie Zahorskiej oraz prof. Ryszardowi Borowiczowi, pierwszym recenzentom owych – wówczas jeszcze bardzo nieuporządkowanych – tez.

Dr. Tomaszowi Witkowskiemu – bez którego pomocy książka, po pierwsze, nie ukazałaby się, a po drugie, raziłaby ilością potknięć, niekonsekwencji, niedociągnięć i językowych maskaronów. Za cierpliwość, wiarę i pomocną dłoń.

Dzieciom, ich rodzicom i opiekunom oraz dyrekcji trzech toruńskich przedszkoli: „Leśny Ludek”, „Mały Świątek” i „Krasnal” – za podróż sentymentalną i najprawdziwsze „przyjemne z pożytecznym”.

I wreszcie najbliższym, zwłaszcza moim Rodzicom i Martynie, których otucha i wsparcie były dla mnie nieocenione.

NA POCZĄTEK

Trudność pierwsza: omijanie przeszkód

Idąc po mieście mijamy ludzi. Na karb chwilowej uwagi lub nieporozumienia można zrzucić fakt, że od czasu do czasu wpadniemy na kogoś lub niefortunnie popchniemy. Najczęściej jednak radzimy sobie z wymijaniem zamysłonych czy śpieszących się przechodniów bez większego problemu. Możemy myśleć w tym czasie o czekających nas zadaniach, o polityce, o chmurach, o szefie, o pustym żołądku, o zakupach, ale nie przeszkadza to nam w mimowolnym skupieniu na docierających do naszego umysłu bodźcach z zewnątrz. Chcąc nie chcąc, analizujemy je, przetwarzamy i wybieramy najlepszą z możliwości bezkolizyjnego pokonania drogi.

Udaje się to nam bez większego trudu. Być może dlatego, że nasze umysły pracują jak szybkie maszyny obliczeniowe, którym opracowanie algorytmu omijania przeszkód (również tych poruszających się) nie nastręcza szczególnych problemów. Nie wszyscy jednak potrafią tyle samo, co my. Wymijamy nie tylko innych, tych, którzy wymijają nas samych, ale również tych, którzy, gdyby nie nasza podzielna uwaga i refleks, wpadliby na nas. I to o wiele częściej niż przypuszczamy my i niż przypuszczają oni. Te słabiej skoordynowane, mniej uważne i rozkojarzone istoty to dzieci, najczęściej w wieku przedszkolnym.

Ileż to razy w ostatniej chwili wymijamy zapatrzonego gdzieś kilkulatka, bez reszty pochłoniętego lizaniem lodu, ileż razy musimy zejść z drogi pędzącemu na złamanie karku urwisowi goniącemu gołębie, ileż to razy (niesłusznie zakładając, że wszyscy podświadomie szukają bezkolizyjnej drogi) zderzamy się ze szkrabem, który po chwili maszeruje

dalej i nawet na nas nie spojrzy, ile razy, bezsilni, stajemy przed przecinającą nam drogę kilkunastometrową kolumną małych piechurów z nadzieją, że choć jedna parka się zatrzyma i przepuści!... Bez szans...

Być może należałoby zdać sobie sprawę, że te kilkuletnie dzieci ani nas, ani n a s z y c h i n t e n c j i po prostu nie potrafią dostrzec. Nie jesteśmy dla nich kimś, kto również gdzieś zdąża, nie jesteśmy innymi, myślącymi o czymś ludźmi, nie jesteśmy kimś, kto ma podobnie do nich skonstruowany umysł, którego równoległą pracę należy uwzględniać – tak jak to robią starsze już dzieci i inni dorośli. Liczą się tylko one same. „Idę po mieście, mogę oglądać wystawy, myśleć o czymkolwiek albo nie myśleć o niczym” – mówią. W odróżnieniu od nich starsze dziecko powie już: „Idę po mieście, mogę oglądać wystawy, myśleć o czymkolwiek albo nie myśleć o niczym, ale inni również gdzieś idą. Zupełnie tak jak ja.” Dla przedszkolaków, zwłaszcza dla dzieci w wieku poniżej 3-4 lat – takie stwierdzenie to czysta abstrakcja, zdanie pozbawione znaczenia. Dla ludzi starszych uwzględnianie innych, ich myślenia, postaw, niewypowiedzianych intencji to jedna z najprostszych i najważniejszych zasad funkcjonowania w społeczeństwie. Dla kogoś, kto wyznaje i stosuje tę zasadę, umiejętność kłamania staje się jej naturalną i zrozumiałą konsekwencją.

Zasada ta nie jest nam wrodzona. Rozwijamy ją dopiero w określonym wieku, a psychologowie nazywają ją t e o r i ą u m y s ł u. Konsekwencje posiadania tej wiedzy są nieocznione i o nich opowiem na następnych stronach tej książki. Przekonamy się, że jedną z korzyści, które zdobywamy wraz z wiedzą o innych umysłach, jest nasza samoświadomość.

Spostrzeżenia, od których chciałbym rozpocząć swoją opowieść, na pierwszy rzut oka mogą wydawać się niezwiązane z zagadnieniem stawania się istotą społeczną, czy mówiąc w skrócie – socjalizacji. Co z tego – można rzec – że przedszkolaki częściej wpadają na innych, niż osoby od nich starsze? Zobaczymy jednak, że ta prosta obserwacja jest tylko wierzchołkiem góry lodowej. Po dokładniejszym przyjrzeniu się działaniom trzylatków, możemy natrafić na

całkowicie odmienne od naszych prawidłowości rządzące ich zachowaniem społecznym. Nie są one niczym więcej, jak rezultatem pracy umysłu funkcjonującego na zupełnie innych zasadach niż umysł dorosłego człowieka. Sądzę, że mogą stać się one punktem wyjścia ku znaczącym wnioskom.

Trudność druga: biała plama

Jest jeszcze grubo przed północą, kiedy mały chłopiec niespokojnie wierci się w łóżku. Wreszcie budzi się i płacze – nagle zaczyna go strasznie boleć gardło. Woła babcię, która została z nim, podczas gdy rodzice wyszli na zabawę do znajomych. Żali się na bolące gardło i prosi o coś do picia. Gdy dostaje coś ciepłego, z przerażeniem stwierdza, że ból jest tak silny, że nie pozwala mu nic przełknąć. On i jego babcia przeżyli wtedy prawdziwą drogę krzyżową. Sylwester '83, atak anginy. Moje pierwsze wspomnienie.

U większości ludzi pamięć epizodyczna sięga około trzeciego roku życia. Nie dalej. W naszym życiu jest pewien okres, co do którego zdać musimy się na relacje innych. Sami nie wiemy o nim nic. Czas ten przypada na najwcześniejsze lata i rozciąga się od chwili urodzenia do 3-4 roku życia, kiedy to pojawiają się pierwsze ślady pamięciowe wraz z możliwością świadomego do nich dostępu. Rzadko zdarza się, by ktoś twierdził, że pamięta rzeczy dużo wcześniejsze, np. gdy miał roczek bądź kilka miesięcy. Zwierzenia głównego bohatera filmu Agnieszki Holland „Europa, Europa”, jakoby pamiętał moment swego obrzezania (przeprowadzonego zgodnie z tradycją niedługo po urodzeniu), to czysta literacka fikcja.

Przez pierwsze miesiące i lata życia mózg nadal pozostaje w fazie intensywnego rozwoju i nie jest zdolny do wytwarzania świadomych śladów pamięciowych. Bywa, że intensywne przeżycie z bardzo wczesnego (kilku-kilkunasto miesięcznego) dzieciństwa, np. silny strach przed szczekającym psem, może pozostawić w nas ślad na całe życie. Możliwe, że przez to już zawsze w towarzystwie psów czuć się będziemy niepewnie, ale rzeczywisty powód pozostanie dla nas nieznanym. Nie natrafimy na żadne konkretne wspo-

mnienie. Wpadniemy w sam środek wielkiej, białej plamy szczególnie przykrywającej pierwsze lata życia.

Psychologowie rozwojowi nazywają zespół tych tajemniczych objawów amnezją niemowlęcą. Nasze świadome wspomnienia obejmują tylko to, co stało się później.

Czy nie jest zastanawiające, że amnezja niemowlęca ustępuje mniej więcej wtedy, gdy dziecko rozwija moduł teorii umysłu? Czy to możliwe, by nasza pamięć autobiograficzna „startowała” od momentu, w którym dostrzegliśmy umysły innych ludzi? A jeżeli tak, to jak wyglądał świat jeszcze zanim mogliśmy go zapamiętać i jakimi prawami rządziło się nasze zachowanie? W jaki sposób te dwie różne sprawy – teoria umysłu i amnezja – mogą być ze sobą powiązane? Co wspólnego mają ze sobą nasza samoświadomość ze zdolnością empatii?

Poszukiwanie odpowiedzi na powyższe pytania może okazać się ciekawą przygodą. Tematem opowieści będzie społeczny rozwój młodego człowieka i prawa, które nim rządzą, a ostatecznym celem zgłębienie zasad działania umysłu dziecka, które dopiero zaczyna uczyć się życia wśród ludzi. Czekają nas trudne, ale fascynujące zadanie: postaramy się spojrzeć na świat kultury oczami kilkulatek.

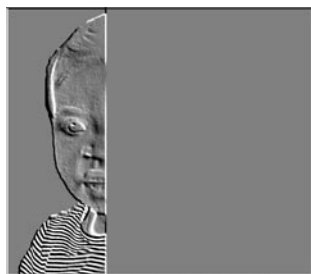
Centralnym punktem będzie dla nas moment, w którym dziecko odkrywa świat innych umysłów. Zanim jednak chwila ta nadejdzie, dziecko funkcjonuje i analizuje społeczne otoczenie na zupełnie innych zasadach niż dorośli. Rozwój człowieka i jego „społecznej kompetencji” możemy zatem podzielić na dwie fazy: wcześniejszą, w której nie są dane nam żadne przekonania o psychice innych osób (nawet tych najbliższych, które doskonale znamy) i późniejszą, kiedy z coraz większą wprawą doskonalimy się w sztuce interpersonalnej ekwilibrystyki, uwzględniając milczące przekonania, wierzenia, intencje, emocje innych osób. Inny problem, którego rozwiązania będziemy poszukiwać, jest związany z ludzką samoświadomością: jaka jest jej rola i po co wyewoluowała?

Wydawać by się mogło, że zakreślona tu problematyka jest bardzo szeroka, w istocie jednak może okazać się, że rozwiązania leżą naprawdę blisko, wystarczy zadać kilka

pytań „wspak”. Być może wnioski, uzyskane na podstawie obserwacji wiele powiedzą nam nie tylko o naturze tych mentalnych predyspozycji, ale także o tym, jak stajemy się istotami zdolnymi do życia pośród innych ludzi.

Nasze poszukiwania wymagać będą małej „zaprawy” i przygotowania narzędzi. Pojęcia, które będą nam pomocne to, m.in. teoria umysłu, świadomość i samoświadomość, jaźń, inteligencja makiaweliczna, psychologia ewolucyjna, poznawcza i behawiorystyczna, moduły umysłowe. Zanim jednak wyjaśnię znaczenie tych terminów, co pozwoli ustalić role każdego z nich w procesie uspołecznienia, czy – jak mówią socjologowie: socjalizacji – i zanim przedstawię główne założenia książki, zapoznajmy się z teoriami socjalizacji, które dominowały do tej pory. Potraktujmy następnny rozdział jako przegląd niezbędnego ekwipunku przed niełatwą wyprawą w świat dziecięcego umysłu.

ROZDZIAŁ I



JA, CZYLI KTO?

„Proszę, dziękuję, przepraszam” – trzy słowa-klucze. Dla wielu z nas była to jedna z pierwszych i najważniejszych lekcji życia w ludzkiej wspólnocie. Znaczenie tych słów jest dla nas oczywiste, zastosowanie – zrozumiałe. Potrafimy posługiwać się nimi z prawdziwą wirtuozerią, czasem również świadomie i nie bez powodu je przemilczamy. Dzieje się tak dlatego, że znamy ich sens i każde ich użycie (bądź nieużycie) wywołuje różne skutki, w zależności od znaczenia, które konotują. Na co dzień nikt z nas nie zastanawia się, w jaki sposób przy użyciu tych słów definiowana jest sytuacja społeczna. Każde z nich jednak w istotny sposób zmienia relację pomiędzy rozmawiającymi ludźmi, a efekty tych zależności często stanowią inspirację badań socjologów i psychologów. Niektóre z tych codziennych relacji stają się bardziej standardowe od innych. Wiele z nich ma swój scenariusz. Te scenariusze, które niejako spajają nasze postrzeganie świata istot ludzkich i od początku determinują sposób naszego zachowania, czy to w szkole, pracy, czy na imieninach u babci, w muzeum, na chrzcinach, to *n o r m y s p o ł e c z n e*. Z tych norm składa się nasza kultura.

W ciągu naszego życia takich norm przyswajamy setki a może i tysiące. Umiejętność ich zastosowania przesądza o tym, czy ktoś określi nas mianem „kulturalnych” bądź nie. Socjologowie proces ten nazywają socjalizacją, czyli uspołecznieniem. Teorii opisujących proces uspołecznienia pojawiło się do tej pory wiele. Każda z nich na przedmiot badań, czyli nas – ludzi, patrzy nieco inaczej. W jednej z nich jesteśmy białą, czystą tablicą, na której każdy wers zapisany jest przez otaczającą nas kulturę, w innych z kolei stajemy się ludźmi dzięki komunikacji z innymi i dzięki naszej aktywności. Każda z tych teorii stanowi część, ni-

czym element puzzle, który składa się na większą mozaikę wiedzy o człowieku. W niektórych miejscach wielu istotnych cegiełek nadal brak, w innym miejscu trudno je do siebie dopasować. Sądzę jednak, że gdyby dobrze poszukać, udałoby się odnaleźć kolejną cegiełkę, a może nawet i spoiwo, które całą konstrukcję uczyniłoby mocniejszą i pełniejszą. Wiele cegiełek mogłoby zacząć do siebie pasować.

Teorie socjalizacji zakładają, że człowiek jest istotą społeczną. Co to znaczy? Czy znaczy to, że kiedy przychodzimy na świat, jesteśmy z natury przystosowani do życia w społeczeństwie? Czy oznacza to, że zdajemy sobie sprawę z tego, co dzieje się z nami w pierwszych chwilach życia? Nie. Za stwierdzeniem, że człowiek jest istotą społeczną, kryje się drugie – prawdziwsze. Człowiek istotą społeczną się staje, a owo stawanie się umożliwiające jest mu dzięki jedynej w swoim rodzaju konstrukcji bio-psychologicznej. Myśląc o sobie jako o istotach społecznych, powinniśmy mieć na uwadze raczej to drugie stwierdzenie, aniżeli pierwsze. Takie postawienie sprawy znacznie zawęży obszar, na którym poszukiwać będziemy naszych puzzli. Możemy postarać się ograniczyć ten obszar jeszcze bardziej. Jakże wygodnie jest przyjmować, że małe dziecko jest jak gąbka, która chłonie otaczający ją świat niczym wodę. Metafora ta na dobre zadomowiła się w mowie potocznej, mówimy przecież, że ktoś chłonie wiedzę, socjologowie lubią mówić, że ktoś wsiąka w kulturę, albo nasiąka nią. Jak gąbka. Zgadza się, takie myślenie jest wygodne. Podobnie wygodą kierowali się „wielcy” budowniczowie i architekci, zatwardziali miłośnicy wielkiej płyty, pozostawiając nam w spadku dzielnice przypominające zbiorowisko bunkrów. Wygoda często bywa złym doradcą. Podobnie jest z koncepcją człowieka-gąbki. Gdybyśmy przyjrzeni się uważniej, zauważylibyśmy, że „gąbka” zbudowana jest z różnych substancji. Nowiutka gąbka... nie nasiąka wodą tak, jak byśmy sobie tego życzyli! W niektórych miejscach jest może i wilgotna, ale w innych, choćbyśmy nie wiem jak długo tarłosili ją pod wodą... pozostaje sucha jak pieprz. Człowiek nie nasiąka kulturą równomiernie. Nasiąkanie podporządkowane jest naszej bio-psychicznej naturze. I dopiero ona, współ

ze środowiskiem czyni z nas istoty społeczne. Gdybyśmy jakimś cudem nie wyrzucili niesfornej gąbki i potrzyłymi ją 3-4 lata, stwierdzilibyśmy, że jednak, po tym zagadkowym okresie „posuchy”, chłonie wodę zdecydowanie łatwiej niż wcześniej. Niemal błyskawicznie!

Co się stało? Owemu jakościowemu przeskokowi poświęcona będzie niniejsza książka. Zobaczymy, że przed osiągnięciem określonego wieku dzieci są w pewnym stopniu odporne na nasiąkanie i że ich świat całkowicie różni się od naszego. „Jak to! – spyta ktoś dociekliwy – moje dwuletnie dziecko ma swoje ulubione zabawki, lubi spotykać się z innymi ludźmi, słuchać bajek... Czy to oznacza, że jakoś inaczej nasiąka?” Oznacza to jedynie, że rozwój przebiega prawidłowo. Gdybyśmy jednak mieli okazję spojrzeć na świat oczami dwulatka, przekonalibyśmy się, że rządzi się on zupełnie innymi prawami. Przestrzeń kultury jest bardzo nieuporządkowana, sytuacje, z którymi spotyka się dziecko, rządzą się trudnymi do ogarnięcia zasadami, a napotkami ludzimi... to nierozwiązana zagadka. Dwulatek myśli o ludziach zupełnie inaczej. W jego oczach są oni raczej tajemniczymi istotami, które zachowują się w sposób trudny do wytłumaczenia. Trudny, bo pozbawiony zamiaru i myśli. Małe dziecko nie rozumie jeszcze, że świat człowieka jest przede wszystkim światem umysłów – ich przekonań, wiedzy i pragnień. Dopóki dziecko nie uświadomi sobie tego faktu, pozostaje zanurzone w świecie kultury, ale nie może nią nasiąknąć. W swoich poszukiwaniach przyglądać będziemy się owym procesom zanurzania i nasiąkania. Zobaczymy, które dzieci – i dlaczego, chłoną świat społeczny lepiej od innych. Być może tropy, na które natrafimy, doprowadzą nas do kilku puzzli, którymi będzie można uzupełnić mozaikę? Obszar poszukiwań, na który niebawem się zapuścimy, pozwoli nam również spróbować odpowiedzieć na inne ważne pytanie: w którym momencie i dlaczego pojawia się w naszym rozwoju samoświadomość? Czy to możliwe, byśmy przez kilka pierwszych lat byli nieświadomi swojego „ja”? A jeżeli tak, to jaką odgrywa ono rolę w naszym życiu? Czy nasiąkanie kulturą jest w jakiś sposób od niego uzależnione, czy może wręcz odwrotnie, nasze „ja” zależy od stopnia uspołecznienia?

Nasze poszukiwania mogą nas nauczyć wiele ciekawego o naturze świata, który pozbawiony jest najważniejszego dla nas elementu: „ja”. Jak by to było, gdyby mnie nie było? Gdyby było tylko moje ciało, ale nic więcej? Ani duszy, ani jaźni, pamięci? Póki co, możemy się tylko domyślać, że takie życie nie opiera się na „rozumieniu” czy empatii – nie ma przecież nikogo, kto by mógł rozumieć. Nie ma uwewnętrznionych norm, no bo kto miałby je pamiętać i stosować? Ani nadawanych znaczeń – kto miałby je odczytywać? Nie ma interpretacji ani autorefleksji. Bo jak zastanawiać się nad sobą, kiedy mnie nie ma? Przeszłość i przyszłość nie mają większego znaczenia – nie ma przecież nikogo, kto budowałby i wzbogacał swoją autobiografię. Oto pytania, na które nie ma wyraźnych odpowiedzi.

Na dalszych kartach tej książki postaramy się dokonać wglądu w takie życie. Taki chaotyczny świat wydaje się nie do pojęcia, a jednak bardzo możliwe, że istnieje tuż obok nas – w umysłach małych dzieci, które jeszcze nie zdążyły dobrze „nasiąknąć kulturą”. Postaramy się dostrzec ten świat i spróbujemy poszukać w nim pewnych prawideł. Być może nauczy nas to również czegoś o naszym świecie. W świecie przed-kulturowym skrywa się bowiem intrygująca prawda, która mówi, że wszechświat kultury, którą stworzył *Homo sapiens sapiens* opiera się na... zdolności kłamania!

Problem świadomości i samoświadomości – celowo zaznaczam tę różnicę, w naszych poszukiwaniach będzie ona bowiem kluczowa – od dawien dawna zaprzętała głowy filozofów i innych znamienitych uczonych. Zagadka pochodzenia naszego „ja” do dzisiaj stanowi bogate źródło pomysłów i teorii, jednak podczas naszych rozważań nie będziemy dokonywać przeglądu wszystkich tych koncepcji, ponieważ zamienilibyśmy je w podręcznik akademicki historii myśli zachodniej, a przecież nie o to nam chodzi. Naszych poszukiwań odpowiedzi na pytanie o pochodzenie i rolę samoświadomości nie rozpoczniemy od razu w przedszkolu. Stanie się ono celem głównym. Dochodzenie rozpocznie się w zupełnie innym miejscu, które odległe jest nie tyle w przestrzeni, co raczej w czasie. Jeżeli chcemy dobrze zrozumieć funkcjonowanie samoświadomości oraz modułu

teorii umysłu, warto będzie przyjrzeć się ewolucji gatunku *Homo sapiens* s. Być może cennych wskazówek udzielią nam pierwsi świadkowie funkcjonowania tych zdumiewających zdolności poznawczych – nasi antenaci oraz bliscy krewni, czyli inne gatunki naczelnych. Dopiero wzbogaceni tą wiedzą zapukamy do drzwi przedszkola i sprawdzimy, jak teoria zamienia się na praktykę.

Co mówi nam ewolucja?

Richard Dawkins, wybitny biolog-ewolucjonista, napisał kiedyś, że inteligentne życie to takie, które wie, skąd się samo wzięło¹. Z pewnością chodziło mu o to, że istoty inteligentne potrafią wypracować pewne, trafne – bądź nie, przypuszczenia co do własnego pochodzenia albo że przynajmniej potrafią o nie zapytać. Inaczej cały dorobek kultury (np. wiara, że zostaliśmy ulepieni z gliny, bądź wyszliśmy z głowy indyjskich bóstw) aż do czasów Karola Darwina i dwudziestowiecznych koncepcji Wielkiego Wybuchu należałoby uznać za radosną twórczość istot nierozumnych. *Homo sapiens* s. to przejaw życia inteligentnego. Oprócz zdolności do zastanawiania się nad swoim pochodzeniem, przejawiamy także wrażliwość na piękno otaczającego nas świata. Dla wielu jest ona echem naszej duszy, cząstki boskości, namiastki szaleństwa i niedookreśloności, nitki łączącej materialną przyziemność ze światem idei. Z filozoficznego namysłu nad światem początek swój wzięła myśl naukowa. Dzięki wrażliwości na piękno i doskonałość natury, a także dzięki ciekawości świata, czy – jak powiedzieliby badacze – głodowi epistemicznemu, potrafimy zadziwić się architekturą skrzydła motyla, sonarem delfinów czy fenomenalnymi zdolnościami maskującymi kameleona. Niemal każda cecha, którą dostrzegamy w budowie zwierzęcia czy rośliny, wydaje nam się doskonale przystosowana do otoczenia, dopełniająca się z całą resztą, powołana do roli, którą pełni. Ciekawość ta nie oszczędza również nas samych. Od

¹ Dawkins, *Samolubny gen*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1996.

zawsze ciekawi jesteśmy swoich korzeni, przyglądamy się innym kulturom z nadzieją, że lepsze poznanie innych powie nam więcej o nas samych. Od dawna chcemy dowiedzieć się również, jak to się stało, że posiadamy „ja”.

Aby zrozumieć doskonałość budowy zwierząt i roślin, a w końcu również naszą naturę, badacze ewolucjoniści starają się zagłębić w historię gatunku. Uważnie badają środowisko, konkurentów na polu walki o zasoby, starają się odtworzyć procesy ewolucyjne, dzięki którym pojawiły się zapierające dech w piersiach rozwiązania. W naszych poszukiwaniach będziemy podążać szlakami, które zdążyli dotąd przetrzeć. Tylko prześledzenie procesów ewolucyjnych może nam pomóc odpowiedzieć na wiele dręczących pytań w rodzaju: „Jak to możliwe, by przyroda zaprojektowała tak unikalny, stabilny układ?” Pytania te dotyczą również nas. My także, skoro jesteśmy istotami żywymi, mamy swoją ewolucyjną historię. Sposób funkcjonowania naszych umysłów świadczy o tym, że ewolucja starała się przy ich pomocy poradzić sobie z jakimś problemem środowiskowym.

Sukces naszego przedsięwzięcia zależy w dużej mierze od tego, czy nauczymy się myśleć w sposób podobny do biologa-ewolucjonisty. Wszystko, co obserwujemy wokół siebie, wszelkie przejawy życia musimy nauczyć się postrzegać o wiele szerzej – w perspektywie historii naturalnej. Z początku może to być trudne, wymaga bowiem zrozumienia mechanizmów działania doboru naturalnego. Aby nasze poszukiwania wyjaśnienia funkcji samoświadomości w życiu społecznym *Homo sapiens* s. przyniosły rezultaty, mechanizmy te będziemy musieli pokrótce poznać.

Jedną z właściwości, na podstawie których biologowie określają, czy dana struktura żyje, jest zdolność rozmnażania. Proces ten przybiera w świecie przyrody bardzo różne formy. Możemy spotkać organizmy rozmnażające się płciowo, bezpłciowo, kopulujące bądź nie, dzielące się, pączkujące... Wszystkie te formy mają jednak coś ze sobą wspólnego. Wspólną cechą tych osobliwości, zarówno w świecie roślin, jak i zwierząt, jest przekazywanie genów dalszym pokoleniom.

Mówiąc o ewolucji, dotykamy tematu cech dziedzicznych z pokolenia na pokolenie. Warto o tym zjawisku powiedzieć nieco więcej. W procesie rozmnażania przekazywany jest przyszłym generacjom pakiet genów, czyli zestaw instrukcji budowy nowego organizmu. Geny, to molekularne informacje o strukturze białek wchodzących w skład naszych kości, mięśni, płuc, krwi, serca, mózgu, krótko mówiąc, wszystkich tkanek i wszystkich organów z nich zbudowanych. Geny są też sekwencjami kwasu dezoksyrybonukleinowego, którego najbardziej fascynującą cechą jest zdolność replikacji, czyli wytwarzania swoich kopii. Kopie tego zestawu informacji znajdują się w każdej komórce naszego ciała. Komórki – taka już ich natura – nie są wieczne. Z wyjątkiem neuronów, z których wiele towarzyszy nam aż do śmierci, pozostałe komórki stosunkowo szybko umierają, a na ich miejsce przychodzą nowe. Tym sposobem, w ciągu życia zdążymy „wymienić” całe nasze ciało kilka razy! Aby ciało przetrwało, komórki – podobnie jak my sami – muszą się rozmnażać. Podczas ich podziału informacja genetyczna zostaje skopiowana, w jednym egzemplarzu dla każdej z komórek potomnych. Choć dokładność tego kopiowania jest bardzo wysoka, czasem, raz na jakiś czas, pojawia się nieoczekiwana i niezaplanowana zmiana – mutacja. Często prowadzi ona do niekorzystnych zmian, np. do nowotworu. Ale bywa też, że przypadkiem w wyniku mutacji pojawi się jakaś korzystna cecha. Białko kodowane przez taki zmieniony gen nagle ujawnia jakieś pozytywne właściwości, które przyczyniają się do lepszego funkcjonowania całego ustroju. Ewolucja uczyniła właśnie maleńki krok.

Zmiany w DNA mają to do siebie, że są dziedziczone z pokolenia na pokolenie, dzięki czemu nowe cechy mogą się utrwalić i rozpowszechnić. W skrócie tak właśnie przebiega ewolucja na poziomie molekularnym. Na poziomie cząstek trudno nam będzie jednak zauważyć widoczne zmiany. Przeglądając pod mikroskopem elektronowym nitki kwasu dezoksyrybonukleinowego nie dostrzeżemy kiedy „przestał” on kodować małpę, a zaczął człowieka. Przypatrując się powolnym zmianom w genach nie zauważymy, że ich właści-

ciel zmienił się, czy też wyewoluował, z ryby dwudysznej w płaza. Wygodniej nam będzie przyjrzeć się efektom ewolucji obserwowalnym gołym okiem.

Teoria ewolucji (doboru lub selekcji naturalnej), której twórcami niezależnie od siebie byli Karol Darwin oraz Alfred Wallace, jest obecnie niekwestionowanym paradygmatem współczesnej biologii. Opiera się ona na założeniu, że organizmy na swój sposób „dążą” do coraz lepszego dostosowania się do otaczającego je środowiska.

Na poziomie „makro” ewolucja funkcjonuje dzięki dwóm zasadniczym „siłom”: różnorodności i selekcji (na następnych stronach przekonamy się, że równie ważnym czynnikiem może być także dobór... według gustu). Przede wszystkim, organizmy muszą różnić się pomiędzy sobą. W populacji złożonej z identycznych osobników proces ewolucji może zostać mocno spowolniony. Ważne jest, by pomiędzy organizmami były przynajmniej drobne różnice. Dzięki temu możliwa jest między nimi rywalizacja, wtedy ewolucja ruszy z miejsca. Będzie to lepiej zrozumiałe, gdy rozpatrzymy taką oto sytuację: wyobraźmy sobie, że mamy środowisko z ograniczoną liczbą zasobów. Następnie umieścimy w tym środowisku pewną liczbę organizmów. Żyjątko, korzystając z dostępnych dóbr, zaczął się rozmnażać i w końcu osiągnął ogromną liczbę, zbyt dużą, aby wszystkie mogły sprawiedliwie, w równym stopniu, z tych zasobów korzystać. W ten sposób sytuacja przekształci się z pokojowej koegzystencji w wyścig, w którym główną nagrodą jest przetrwanie i rozmnożenie. Te, które są lepiej przystosowane, czyli np. szybciej znajdują pożywienie, łatwiej kojarzą się z partnerami seksualnymi, zdobędą dominację nad pozostałymi, osiągną sukces i rozmnożą się. Jednocześnie, zdobywając przewagę liczebną nad gorzej przystosowanymi i usuwając je w cień zajmą ich miejsce. Te, które mają mniej szczęścia – gorzej przystosowane – zostaną naturalną koleją rzeczy wyparte. Na tej zasadzie działa owa druga, nieco bardziej brutalna strona ewolucji – selekcja. Właśnie z taką sytuacją mamy do czynienia w naturalnym środowisku. Walka o byt to nic innego, jak konkurowanie o ograniczone zasoby, czyli pożywienie, przestrzeń życiową, czy partnerów do rozrodu.

Inżynieria wspan

Jeśli na historię naturalną spojrzymy w ten właśnie sposób, to możliwa stanie się do wyjaśnienia olbrzymia różnorodność żywych form, zarówno roślin, jak i zwierząt, które spotykamy wokoło. Każde dostosowanie staje się jednocześnie próbą zagospodarowania małego kawałka przestrzeni ekologicznej i może przyjmować nawet najbardziej finezyjne formy. Formy te będą się upowszechniać, jeżeli gwarantują przewagę w walce. Kierunków, które obrać może ewolucja, jest bardzo wiele, ekologicznych nisz do zasiedlenia – równie dużo. Dzięki teorii doboru możliwe do udowodnienia jest również to, że dowolne dwa gatunki, niezależnie od tego, jak bardzo odległe (np. mucha i człowiek, czy jeszcze odleglejsze - człowiek i świerk), miały gdzieś w zapomnianej, ewolucyjnej przeszłości wspólnych przodków², np. w postaci pierwotniaków z cechami roślinno-zwierzęcymi (takich jak żyjąca dziś euglena zielona). Część z nich mogła obrać drogę prowadzącą ku formom zwierzęcym, druga natomiast – ku roślinnym.

Biorąc pod uwagę złożoność i precyzję budowy organizmów, ewolucja może sprawiać pozorne wrażenie celowości swojego procesu. Może się wydawać, że ręka wykształciła się w celu chwytania lub sprawnego wytwarzania narzędzi, że celem, który przyświecał wykształceniu kolców była obrona przed naturalnym wrogiem, że oko wykształciło się w celu widzenia. Jakże by inaczej? – spyta prawie każdy, kto choć przez chwilę zastanowi się nad zdumiewającą architekturą ciała. Cały projekt sprawia wrażenie niezwykle precyzyjnej inżynierii. Ewolucja nie przebiega jednak na tej zasadzie, gdyż oznaczałoby to jednocześnie, że skutek (np. widzenie) wyprzedza przyczynę (pojawienie się oka). Nauka nie zezwala na taki galimatias.

² Fascynujące studium na temat bioróżnorodności to praca Edwarda O. Wilsona, *Różnorodność życia*, PIW, Warszawa 1999. Więcej o ewolucji człowieka – zob. np. R. Foley, *Zanim człowiek stał się człowiekiem*, PIW, Warszawa 2001; J. Shreeve, *Zagadka neandertalczyka. O poszukiwaniu rodowodu współczesnego człowieka*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

Przed wszystkim proces ewolucji organizmów jest powolny i stopniowy, a każdy etap przyczynia się w jakiś sposób do przetrwania organizmu i w jakimś stopniu zwiększa jego szanse na przetrwanie. Zmiany nie są celowe, są całkowicie przypadkowe. Dzięki nim nie nabywamy pewnej konkretnej zdolności zgodnie z jakimś zaprojektowanym planem, ale zwiększamy swoją szansę przetrwania tylko dzięki zbiegom korzystnych okoliczności. Innymi słowy, w pewnych warunkach lepiej jest dla organizmu, kiedy odróżnia światło od ciemności, niż gdy tego nie potrafi. Dzięki temu prawdopodobnie sprawniej będzie orientować się w środowisku, umykać wrogom itd. Mówiąc ogólnie, setki milionów lat sprawiły, że oprócz samego rozpoznawania natężenia światła, organizm dostrzegał kształty przedmiotów, zaczął w prosty sposób chronić swoją światłoczułą plamkę (wykształciły się powieki), a wreszcie „nauczył się” regulować ostrość tegoż postrzegania... Każdy etap był w jakimś maleńkim stopniu lepszy od poprzedniego, lecz nie oznacza to, że już na etapie światłoczułej plamki dobrodusznaj natura zaplanowała spreparowanie sokolego oka. W naszej podróży musimy pamiętać, że nie można utożsamiać funkcji danego organu z „celem” zmiany. Celem mojego oka jest widzenie, ale nie znaczy to, że widzenie jest jakimś nadrzędnym ewolucyjnym prawidłem, a wytworzenie oka ewolucyjną koniecznością. (Takie samo rozumowanie tyczy się nas samych! Jesteśmy istotami samoświadomymi, ale nie znaczy to, że „ja” jest w jakimś stopniu zwieńczeniem historii naturalnej, czy celem, do którego zmierzała ewolucja. Mówienie o szczeblach ewolucji, czy wspinaniu się od form „prymitywnych” do „doskonałych” może być tutaj mylące). Po prostu organizmy z oczami lepiej orientują się w środowisku, polują, rozmnażają, niż ich krewni bez oczu. Ale i dla tych znajdzie się miejsce, o czym przypominają nam choćby kret czy nietoperz, które radzą sobie w swoim habitacie równie świetnie, co reszta zwierząt. Potwierdziły to zresztą badania fauny odnalezionej niedawno w jednej z jaskiń w środkowym Izraelu, głębokiej na 2,5 km. Biolodzy szacują wiek tego unikalnego ekosystemu na ok. 5 mln lat. Mniej więcej przez taki czas życie kwitło i rozwijało

się tam w kompletnych ciemnościach. W takim otoczeniu praca oka jest niepotrzebnym marnotrawieniem tkanki i energii. Skutek? Zwierzęta żyjące od tysięcy bez promyka światła, wszystkie przebadane gatunki, zupełnie zrezygnowały z oczu! Wyjaśniając budowę organizmów musimy więc zadawać pytania wstecz: w jaki sposób dana cecha przyczyniała się do polepszenia jakości życia osobnika? Omawiając ogólne podstawy teorii ewolucji, wypada w tym miejscu podkreślić, że choć z taką łatwością posługujemy się pojęciami ewolucja „osobnika” czy „ewolucja gatunku”, wśród teoretyków biologii ewolucyjnej nie ma jednoznacznej zgody, co należy uznać za ostateczną jednostkę doboru. Jest kilka alternatywnych odpowiedzi na pytanie: „Co ewoluuje?”. Zwolennicy tzw. doboru grupowego (np. Konrad Lorenz, Irenäus Eibl-Eibesfeldt) – teorii, od której większość badaczy już odeszła – optują za tym, że ewoluuje cały gatunek, lub grupa znajdującą się na danym terenie. Piewcy doboru osobniczego (np. Stephen Jay Gould) przekonują, że ewoluują pojedyncze organizmy i że nie można się spotkać w przyrodzie z działaniami „dla dobra gatunku”, ale wręcz przeciwnie: zacięta rywalizacja ma również, a może przede wszystkim, miejsce w obrębie gatunku. Wreszcie trzecia opcja to perspektywa samolubnego genu. Zgodnie z tym podejściem, jednostkami doboru są geny, które rywalizują ze sobą, a ich wytwory (ciała – rośliny, zwierzęta, ludzie...) są tylko wehikułami, które walkę tę im umożliwiają³.

Sily, które kształtują organizm w ciągu setek tysięcy lat określamy mianem presji środowiskowej. Środowiska różnią się między sobą. Specyfika środowiska wywiera na organizm pewien nacisk, który sprawia, że zmiany będą następować w określonym, nieprzypadkowym kierunku, jednak ich charakter i forma pozostaną nieodgadnione. Oznacza to, że w danym środowisku, np. w wodzie, bardziej opłacalne będzie wykształcenie opływowego kształtu ciała, niż kształtu nieopływowego, lub wykształcenie skrze-

³ Zainteresowanych odsyłam do źródeł: K. Lorenz, *Tak zwane zło*, PIW, Warszawa 1996; I. Eibl-Eibesfeldt, *Miłość i nienawiść*, PIW, Warszawa 1998; R. Dawkins, *Samolubny gen*, wyd. cyt., S. J. Gould, *Niewczesny pogrzeb Darwina*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

li zamiast płuc. Jednak rodzajów opływowych kształtów jest cała masa, podobnie skrzela mogą mieć bardzo wiele wariantów. Posiadanie pewnych cech jest w określonym otoczeniu bardziej opłacalne niż w innym i to właśnie wytycza kierunek zmian. Samo istnienie presji selekcyjnej nie oznacza jednak, że nie mogą pojawić się inne, alternatywne rozwiązania. Nie wszystkie organizmy, by żyć, muszą widzieć. Nie wszystkie organizmy, by żyć w wodzie, muszą oddychać przy pomocy skrzeli.

Dobór wedle upodobań

Nie należy zapominać o drugim obliczu ewolucji, jakim, oprócz selekcji naturalnej, jest dobór płciowy. Dobór naturalny jest tylko jedną z form, jaką może przybierać walka o byt. Dobór naturalny powoduje, że organizmy z biegiem czasu są coraz lepiej przystosowane do środowiska, w którym żyją, lepiej unikają drapieżników bądź chwytają swoje ofiary itd. Mechanizmy doboru naturalnego nie są jednak w stanie wyjaśnić wszystkich przypadków, z jakimi spotykamy się w świecie ożywionym. Przykładem takiego niewyjaśnionego zjawiska jest np. barwne upierzenie wielu gatunków ptaków. Czy logika ewolucji nie powinna dążyć do wyeliminowania takich osobliwości? Czy nie lepiej wykształcić barwy maskujące? Przecież jaskrawe upierzenie zwraca uwagę drapieżców, którzy tylko czyhają na taką okazję. Jakim cudem więc kolorowo przystrojone osobniki zdołały się rozprzestrzenić? Jedną z hipotez, za pomocą których uczeni starają się wyjaśnić podobne wypadki, jest koncepcja *handicapu* (z ang. ułomność, upośledzenie, choć faktycznie jest to upośledzenie na swój sposób pomocne). Zgodnie z nią, takie zmiany występują wśród zwierząt po to, by skuteczniej się rozmnażać⁴. Ów „balast” ma często niezwykle „powodzenie” u przedstawicieli przeciwnej płci. Osobnik wyposażony np. w kolorowy ogon czy podgardle przyciąga skutecznie uwagę nie tylko wspomnianych wcześniej drapieżników, ale przede wszystkim – partnerek i partnerów se-

⁴ Koncepcja ta jest szerzej omówiona w: A. Zahavi, *Mate selection – a selection for a handicap*, „Journal of Theoretical Biology”, nr 53, 1975, s. 205-214.

ksualnych. Spójrzmy przez chwilę na takiego „absztyfikanta” oczami adorowanego bądź adorowanej: kolorowy ogon z jednej strony stanowi duże utrudnienie, ale jest również dobrym świadectwem zaradności i zwinności jego właściciela. Posiadacz ekskluzywnego upierzenia najwyraźniej świetnie daje sobie radę i potrafi umknąć swym naturalnym wrogom, a zatem, prócz barwnych piór musi posiadać cechy, które umożliwiają mu przetrwanie, a co za tym idzie – jest wymarzoną kandydatem na ojca piskląt! A i one w przyszłości będą miały większe szanse, by przetrwać, rozmnożyć się i przekazać dalej geny rodzica. Rzecz jasna, zwierzęta nie dokonują podobnego wnioskowania i dla potrzeb tej książki powinniśmy traktować je raczej jako wygodną metaforę literacką. Zwróćmy jednak uwagę, że także wśród ludzi występują nietypowe zachowania lub cechy dające wytłumaczyć się przede wszystkim dzięki tezom doboru płciowego – choć na pierwszy rzut oka dziwne, w dużej mierze wpływają na atrakcyjność partnera. Bardzo możliwe, że jasny kolor włosów jest rezultatem takiego „upodobania” i w zamierzonych czasach nie pełnił żadnej istotnej funkcji (blondynom zapewne nawet utrudniał skuteczne polowanie, blondynkom przeszkadzał w unikaniu potencjalnego zagrożenia) poza jedną: kuszeniem partnera. Podobnie rzecz ma się z rysami twarzy, które im gładziej, im młodziej wyglądające, tym bardziej kuszące. Ludzie mimowolnie przyznają rację twórcom takich koncepcji rozjaśniając włosy, doskonałą makijaż, nakładając tipsy i poddając się dziesiątkom operacji plastycznych. Ale nie koniec na tym, niewykluczone bowiem, że całe zróżnicowanie rasowe w obrębie *Homo sapiens* s. to nic innego, jak wynik działania międzypłciowych upodobań, które w danej części świata zyskały przewagę⁵!

⁵ Istnieje co prawda wiele naukowych teorii uzasadniających różnice międzyrasowe i podkreślających ich znaczenie adaptacyjne, co jednak począć z faktem, że wiele grup etnicznych posiada zdecydowanie więcej pigmentu niż to potrzebne? Możliwym wyjaśnieniem jest właśnie to, które mówi, że osobniki z najciemniejszą karnacją miały największe powodzenie w tym regionie. Zainteresowanych odsyłam do pracy R. Tyrały, *O jeden takson za dużo*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2005.

Wspomnieć należy, że dobór płciowy, w przeciwieństwie do doboru naturalnego, rządzi się zupełnie nieprzewidywalnymi prawami w tym sensie, który najlepiej ilustruje znana maksyma: *de gustibus non disputandum est* – o gustach się nie dyskutuje. Nie sposób dokładnie przewidzieć, wydedukować, co cieszy się (jeśli w ogóle) powodzeniem u danego gatunku. Jednym spodoba się krótki czerwony ogonek, innym kolorowe skrzydła, jeszcze innym błyszcząca skorupa, a jeszcze innym duże gruczoły mleczne... U ludzi, pośród przedstawicieli wszystkich kultur, wielkie wzięcie mają oznaki młodości, a co za tym idzie – płodności: gładka skóra i ciało, błyszczące oczy i zęby, symetryczna twarz i sylwetka. Psycholog ewolucyjny David Buss w swoich pracach przekonująco dowodzi, że cechy te w szczególności cieszą się powodzeniem u mężczyzn, kobiety dużą wagę przykładają ponadto do oznak dobrej pozycji społecznej partnera⁶. Potomstwo takich wielbionych i zewsząd pożądaných osobników dziedziczy po „atrakcyjnych rodzicach” równie atrakcyjne cechy i predyspozycje, a potem skutecznie kusi całe zastępy w następnych pokoleniach. Cecha upowszechnia się, przeistaczając jednocześnie w narzędzie seksualnej walki z rywalami do rozrodu.

Architektura umysłu

Dowiedzieliśmy się zatem, że ewolucja działa nie tylko dzięki selekcji naturalnej w myśl zasady „kto sprawniejszy, silniejszy, zdrowszy, lepiej przystosowany – ten lepszy”, ale także doborowi płciowemu, czyli w zgodzie z upodobaniami osobników przeciwnej płci. Gwoli ścisłości, możliwa jest jeszcze inna opcja – doboru sztucznego, gdzie szerokie pole do działania ma człowiek. Podług gustu selekcjonujemy osobniki ze względu na jakąś pożądaną cechę. W efekcie uzyskujemy świnie dającą mnóstwo mięsa, krowę dającą hektolitry mleka czy dalekiego kuzyna wilka w postaci pudła.

⁶ Por.: D. Buss, *Psychologia ewolucyjna. Jak wytłumaczyć społeczne zachowanie człowieka? Najnowsze koncepcje*, GWP, Gdańsk 2001.

⁷ W tym miejscu naprawdę zabawne wydają mi się protesty prze-

Idąc dalej, zgodnie z tym paradygmatem, ludzki umysł, podobnie jak każda część ciała, np. ręka czy oko, jest takim samym produktem ewolucji, a każdy jego element służy do rozwiązywania pojawiających się w środowisku problemów. Błędnym jest jednak myślenie, które zakłada, że ewolucja wytwarza tylko mechanizmy przynoszące osobnikowi pożytek. David Buss prócz niewątpliwie pomocnych adaptacji wyróżnia też efekty uboczne i „szum”. Adaptacje pomagają przetrwać i sprzyjają rozmnożeniu. Produkty uboczne nie mają, w przeciwieństwie do adaptacji, funkcjonalnego charakteru, pojawiają się z cechami, które spełniają jakieś funkcje. Przykładem produktu ubocznego jest np. pępek. Szum jest konsekwencją losowych mutacji, ich interakcji ze środowiskiem, przypadkowych zmian rozwojowych, które nie mają większego znaczenia dla osobnika (np. kształt płatków uszu)⁸.

Wsparci tą wiedzą możemy postawić następującą tezę: skoro samoświadomość jest naturalną cechą naszego umysłu, pytanie wspaniałe brzmi: odpowiedzią na jaki problem środowiskowy jest jej posiadanie? Możliwości naszego umysłu wydają się prawie nieograniczone, w samozachwycie utwierdzają nas doniesienia, w których dokonania nawet najlepszych superkomputerów pozostają daleko w tyle za możliwościami mózgowi kilkulatków. Zdołaliśmy postawić człowieka na Księżycu – czy może być lepszy dowód na to, że nasze umysłowe możliwości zostawiają daleko w tyle problemy, które miały w przeszłości rozwiązywać? Rzeczywiście, jak na gatunek naczelnych, który w geologicznej skali czasu afrykańskie sawanny opuścił zaledwie wczoraj – umiemy zaskakująco wiele. Psychologia ewolucyjna sugeruje jednak, że cała ta nakładka jest po prostu efektem ubocznym działania niebywale skomplikowanej maszynerii,

ciwników i atmosfera paniki rozsiewana wokół żywności modyfikowanej genetycznie. Od dawna jemy takowe żyto, marchew czy jabłka. Każda ich odmiana jest swoistą modyfikacją genetyczną.

⁸ Zob.: D. Buss, *Psychologia ewolucyjna*, wyd. cyt. Por. też: J. Tooby, L. Cosmides, *Psychological foundations of culture*, [w:] *ciz*, J. Barkow, *The adapted mind*, Oxford University Press, New York 1992.

która niegdyś służyła nam w walce o przetrwanie. Spójrzmy na to z innej strony: możemy być co najwyżej dumni z tego, że przetrwanie w grupie społecznej ludzi wymaga zdolności obliczeniowych potrzebnych do wysłania ludzi w kosmos! Pytanie jednak, czy i samoświadomość jest takim narzędziem przetrwania, czy może kolejnym, ubocznym efektem działania super-maszynierii?

Najważniejsze założenie psychologii ewolucyjnej zostało w zasadzie już wyłożone: umysł jest produktem ewolucji tak samo, jak wszystkie części ciała⁹. Jak pisał genetyk Richard Lewontin:

to, co stosuje się do anatomii, w jeszcze większym stopniu dotyczy zachowania się i organizacji społecznej¹⁰.

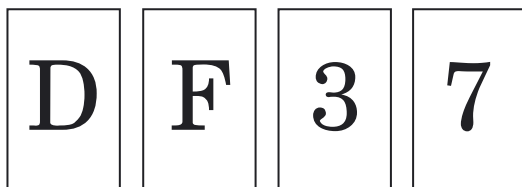
Idąc tym śladem, nasz umysł prawdopodobnie składa się z niezliczonej liczby modułów, które powstały w odpowiedzi na presję środowiska, aby rozwiązywać problemy adaptacyjne, które przed nami postawiono. Problem adaptacyjny to swoista, powtarzająca się w środowisku trudność, na którą natrafia dany osobnik. W przypadku naszych przodków problemem adaptacyjnym była na przykład obecność drapieżników, opieka nad potomstwem i znajdowanie zdolnych do reprodukcji partnerów, zawiązywanie koalicji, wykrywanie niecznych intencji, skuteczna i precyzyjna komunikacja... Listę można by długo ciągnąć, a potem jeszcze dłużej uzupełniać. Problem powoduje presję, która sprzyja przetrwaniu osobników lepiej dostosowanych, czyli tych, które z problemami adaptacyjnymi radzą sobie lepiej niż ich mający mniej szczęścia towarzysze. Na tej zasadzie dokonuje się selekcja, której podstawą jest polimor-

⁹ Pojawiły się również hipotezy, zgodnie z którymi niebывała wielkość mózgu (a co za tym idzie – nieprzeciętne zdolności umysłowe) oraz jego błyskawiczny (w ewolucyjnej skali czasu) wzrost są rezultatem doboru płciowego, jednak takie wyjaśnienie stosunkowo niewiele tłumaczy.

¹⁰ Richard C. Lewontin, *Socjobiologia: jeszcze jeden determinizm genetyczny*, [w:] B. Szacka, J. Szacki, K. Najder (red.), *Człowiek, zwierzę społeczne*, Czytelnik, Warszawa 1991.

fizm, czyli biologiczna różnorodność między osobnikami. Z kolei moduł umysłowy to pewna struktura neuronalna lub, bardziej ogólnie, wrodzona predyspozycja, przeznaczona do zajmowania się szczególnymi zadaniami.

Koncepcja modularności umysłu pojawiła się w latach osiemdziesiątych za sprawą Jerry'ego Fodora. Twierdził on, że badając umysł nie możemy zakładać, że jest on czymś w rodzaju idealnie zaprojektowanego, uniwersalnego systemu operacyjnego, który zdolny jest zająć się każdą liczbą danych i wszystkie przetwarzać tak samo sprawnie¹¹. Tym samym wymierzył potężny cios w koncepcje, które zakładały, że nasz umysł jest narzędziem „do wszystkiego”, swego rodzaju uniwersalnym komputerem. Zdaniem Fodora jest zupełnie inaczej. Umysł jest bardzo wszechstronny, jednak nie jest uniwersalny. Przypomina raczej szwajcarski scyzoryk, który przydaje się w różnych sytuacjach, ale po pierwsze – nie w każdej z sytuacji, i po drugie, w zależności od problemu, który przed nami stoi, nie będzie wykorzystany w taki sam sposób. Innymi słowy – istnieją problemy, których nie rozpracuje nawet najlepszy scyzoryk, na przykład żaden z nich nigdy nie będzie fruwać. Ale choć nie umie fruwać, scyzoryk może przydać się w wielu innych sytuacjach, w każdej z nich w inny sposób. Użycia innego ostrza wymaga naostrzenie kijka, innego użyjemy przy otwieraniu konserwy, jeszcze innego, aby odkorkować butelkę. Nie ma jakiegoś uniwersalnego ostrza, które zrobi wszystko naraz. Podobnie jest z modułami umysłowymi – są jak ostrza scyzoryka, każdy z nich przeznaczony do innych zadań. Świetnie widoczne jest to na następującym przykładzie. Czytelniku, postaraj się rozwiązać następujące zadanie. Oto przed tobą cztery karty:



¹¹ J. A. Fodor, *The Modularity of Mind*, MIT Press, Cambridge 1983.

Twoim zadaniem jest sprawdzić, przy pomocy jak najmniejszej ilości ruchów, czy zachowana jest zasada, że jeżeli karta ma po jednej stronie literę D, to po drugiej cyfrę 7. Które karty odwrócisz? Zdecydowana większość badanych stawia na D i 7. Jeżeli i ty wybierasz podobne karty – masz sporo towarzystwa. Niestety, prawidłowa odpowiedź to D i 3. Rozwiązanie lepiej widoczne będzie na przykładzie następnym. Wyobraź sobie, że jesteś barmanem i masz przed sobą cztery sączące jakiś napój osoby. O każdej z nich wiesz tyle:

pije piwo	pije colę	ma 15 lat	ma 21 lat
----------------------	----------------------	----------------------	----------------------

Musisz dopilnować zasady, że każdy, kto pije alkohol, ma przynajmniej 18 lat. Komu zajrzysz do dowodu i szklaniki? Oczywiście – temu, który pije piwo oraz temu, który ma 15 lat. Z tym zadaniem już nie było problemu, prawda? Co ciekawe, zasada, która rządziła obiema zagadkami, jest dokładnie taka sama. Psychologowie ewolucyjni twierdzą, że kluczem do wszystkiego jest forma zadania, które przed nami stoi. Nasz umysł nie jest ewolucyjnie przystosowany do jakichś abstrakcyjnych operacji na kartkach i symbolach. W naszym środowisku, zamiast abstrakcyjnych problemów logicznych, o wiele pożyteczniej było nauczyć się wykrywać oszusta. Ten prosty przykład zdaniem psychologów ewolucyjnych świadczyć może o modularności naszego umysłu. Gdybyśmy mieli umysł z „jednym uniwersalnym ostrzem”, zagadki z literami, cyframi i piwem rozwiązywaliśmy z taką samą łatwością. Jednak uniwersalnego narzędzia nie ma. Mamy zamiast tego ostrze mniej uniwersalne (moduł umysłowy) do wykrycia oszusta. Uczni argumentują, że takich modułów jest w naszym umyśle o wiele więcej, a każdy z nich przeznaczony jest do innego zadania. Jeden wykrywa oszustów, inny odpowiada za znalezienie partnera do rozro-

du, jeszcze inny za opiekę nad potomstwem, za znajdowanie pożywienia, poszukiwanie kryjówek, rozpoznanie jadalnej i trującej żywności, pożyteczne inwestycje rodzicielskie...

Innym założeniem ewolucyjnych nauk o zachowaniu, przyjmowanym w tej książce, jest stwierdzenie, że produkty doboru naturalnego nie ograniczają się jedynie do ciała i konstrukcji psychicznej osobnika, ale także do jego zachowań, w tym zachowań społecznych. Jeśli w wyniku spontanicznej mutacji dany osobnik przyjmuje lub modyfikuje strategię zachowania, która w jakimś stopniu przyczynia się do powiększenia jego szans na przetrwanie i rozmnożenie, ewolucja będzie takim nowym zachowaniem sprzyjać. W konsekwencji strategię tę odziedziczą jego przyszli potomkowie. Tym samym, w ciągu milionów lat wiele zachowań (albo raczej – skłonności) osobnika staje się w dużym stopniu zaprogramowane biologicznie i służy jego interesom.

Zachowania, które pomagają w przetrwaniu osobnika i wspierają tym samym jego interesy, mogą być (i są) bardzo zróżnicowane w zależności od gatunku i środowiska, które on zamieszkuje, od trybu życia, jaki prowadzi itd. Takim zachowaniem może być na przykład agresja kierowana przeciwko rywalom reprodukcyjnym, która przyczynia się do ich eliminacji i zwiększa szanse na skuteczne przekazanie własnego materiału genetycznego przy jednoczesnym zmniejszeniu konkurencyjnego wkładu przeciwników¹². Podobnie, do zwiększania własnych szans, na pozór paradoksalnie, przydawać się może altruizm¹³, czyli pomoc

¹² Znakomitą ilustracją tych tez są prace Edwarda O. Wilsona: *O naturze ludzkiej*, PIW, Warszawa 1998 oraz *Socjobiologia*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Warszawa 2000.

¹³ Jednym z zadań socjologii człowieka jest zrozumienie i opisanie, w jaki sposób owe odziedziczone predyspozycje funkcjonują dzisiaj, kiedy to rodzaj ludzki porzucił zachodnioafrykańskie sawanny i zamienił je na kilku(dziesięć)milionowe państwa, a czasem nawet miasta. Jak w takich warunkach nasza natura daje o sobie znać? Czy można odwoływać się do niej, tłumacząc obserwowane dzisiaj skłonności, takie jak sztuka czy wojna? Zainteresowanym polecam: B. Ehrenreich, *Rytuały krwi*, Jacek Santorski, Warszawa 1997; D. Morris, *Ludzkie zoo*, Świat Książki, Warszawa 1998.

udzielana innym kosztem własnego czasu i zasobów, które można by wykorzystać dla zwiększenia własnego sukcesu reprodukcyjnego. Rozróżniamy dwa zasadnicze rodzaje altruizmu: altruizm krewniaczy oraz altruizm odwzajemniony. Pierwszy z nich ogranicza się do pomocy okazywanej naszym bliskim i dalszym krewnym. Jego istotę dobrze tłumaczy socjobiolog Edward O. Wilson:

Wyobraźmy sobie w obrębie populacji grupę osobników połączonych więzami krwi. Krewni ci współpracują ze sobą lub okazują sobie altruistyczne względy w sposób zwiększający przeciętną genetyczną wartość przystosowawczą członków całej sieci, nawet jeśli takie zachowanie redukuje osobniczą wartość przystosowawczą niektórych przedstawicieli grupy. (...) Takie polepszenie bytu całej sieci krewnych nazywa się dobrem krewniaczym¹⁴.

Dobór krewniaczy z reguły łączony jest z nazwiskiem Williama D. Hamiltona, biologa, twórcy genetycznej teorii altruizmu¹⁵. Zgodnie z tą teorią pomoc krewnym nie jest czysto bezinteresowna, ponieważ służy interesom genów, których wspólnymi nosicielami są osoby blisko ze sobą spokrewnione, tym samym chęć pomocy maleje wraz z malejącym stopniem pokrewieństwa. Sedno teorii altruizmu Hamiltona stanowi pojęcie dostosowania łącznego – tzw. *inclusive fitness*. Dostosowanie łączne to nic innego, jak wkład osobnika do puli genowej jego gatunku; mówiąc prościej, jest to liczba wszystkich jego krewnych, a dokładniej wspólny zasób genów, które z nimi dzieli. Każdy z nich przenosi z pokolenia na pokolenie jakąś część jego materiału genetycznego.

Hamilton wprowadza do swych rozważań jeszcze jedną ważną nowość, perspektywę genu i stwierdza, że to gen, a nie osobnik, czy też grupa (jak wcześniej przypuszczali tak znamienici badacze jak etologowie Irenäus Eibl-Eibesfeldt czy Konrad Lorenz) jest faktyczną jednostką

¹⁴ E. O. Wilson, *Socjobiologia*, wyd. cyt.

¹⁵ W. D. Hamilton, *The genetical evolution of social behavior*, „Journal of Theoretical Biology”, nr 7, 1964.

doboru. Pomyślmy logicznie: skoro każdy osobnik pojawia się tylko raz i nigdy więcej się nie pojawi (wyłączając rodzeństwo jednojajowe), jak może on ewoluować? Tylko geny są wystarczająco trwałe, by uczestniczyć w wyścigu przez kolejne pokolenia. I dlatego właśnie Hamilton pyta, co jest korzystne z punktu widzenia konkretnego genu, co służy jego przetrwaniu i replikacji, a więc rozmnożeniu, a dokładniej powieleniu swoich kopii? Takim zachowaniem niewątpliwie jest pomoc krewnym, gdyż to oni z dużym prawdopodobieństwem (wprost proporcjonalnym do stopnia pokrewieństwa) są nosicielami danego genu i będą go przekazywać dalej. Za teorią tą, oprócz prostego stwierdzenia faktu, że chętniej pomaga się krewnym, niż nie-krewnym, przemawia również nieco mniej popularne zjawisko, oparte jednak na dokładnie tych samych mechanizmach: nepotyzm. Przydzielanie ciepłych i wygodnych posadek „krewnym i znajomym Królika” było, jest i chyba jeszcze długo będzie bolączką cywilizacji (a przy okazji tematem genialnych powieści, jak choćby „Ojciec chrzestny” Mario Puzo).

Perspektywa genu zrewolucjonizowała świat biologii ewolucyjnej, a co ważne, stała się również zaczątkiem nowych koncepcji, które z jej wykorzystaniem pozwalały tłumaczyć wiele obserwowanych wśród zwierząt zachowań. Szczególne miejsce na tym polu zajmuje Robert L. Trivers. Opublikował on z początkiem lat siedemdziesiątych kilka artykułów, które w elegancki sposób opisywały zastosowanie perspektywy genu. Pokazał, że tłumaczy ona nie tylko zakres inwestycji rodzicielskiej, ale także konflikt pomiędzy rodzicami a potomstwem (zazwyczaj potomstwo skłonne jest domagać się więcej, niż rodzice skłonni są mu zaoferować, z czego początek biorą np. właśnie pomiędzy rodzeństwem). W jednym z artykułów Trivers rozważał perspektywę genu jako potencjalne wytłumaczenie altruizmu odwołując się do niego¹⁶. Sedno zagadki stanowił fenomen samarytańskiego zachowania wielu zwierząt, w tym również ludzi. Bywa, że jeden człowiek tonie, a drugi rzuca się na ratunek,

¹⁶ R. L. Trivers, *The evolution of reciprocal altruism*, „Quarterly Review of Biology”, nr 46, 1971.

mimo że obaj nie są ze sobą spokrewnieni. Czasem nawet może to być ktoś zupełnie nieznamy. Zazwyczaj zachowanie takie określa się mianem „czystego altruizmu”, jednak po głębszym zastanowieniu dostrzegamy korzyści, jakie z tego tytułu może w przyszłości odnieść nasz „samarytanie”. Wystarczy bowiem, iż sam kiedyś znajdzie się w nie mniejszych opałach, a wtedy wcześniej przez niego ocalony odwzajemni się i pośpieszy na pomoc. Takie postępowanie powoduje, że opłaca się czasem przyjąć rolę wybawcy. W rozważaniach nad zjawiskiem altruizmu odwzajemnionego zawsze staje mi przed oczami najlepszy przykład, który jednocześnie w pełni obrazuje funkcjonowanie tej zasady w szerszej grupie społecznej. Jako socjolog żartuję czasem, że doskonale funkcjonującą utopią byłoby państwo w całości zamienione na... ogródki działkowe. To oczywiście czysta fantazja, ale jest faktem, że społeczności działkowców stanowią niezwykle spójne, zgrane zespoły. Zasada, która reguluje życie tej grupy jest właśnie altruizm odwzajemniony. Ludzie są tam chętni do pomocy z kilku powodów – wiedzą, że w przyszłości sami mogą potrzebować pomocy, po drugie zacieśnia to wzajemne relacje, po trzecie wreszcie, poprawia lub umacnia reputację w grupie. W anonimowym tłumie, gdzie prawdopodobieństwo spotkania drugi raz tej samej osoby jest małe, chęć niesienia pomocy też bywa niewielka. Sytuacja diametralnie się jednak zmienia, kiedy zewsząd otaczają nas znajomi.

Teoretycznie oczywiście, nie trzeba się odwzajemniać, jednak reputacja ucierpi wtedy w ogromnym stopniu. Bycie nieuczciwym w tego typu sytuacjach po prostu nie popłaca i źle rokuje na przyszłość, również w sensie darwinowskim. Człowiek pomoże, człowiekowi pomogą – mówi ludowe porzekadło. A jak nie, to nie.

Dociekania Hamiltona i Triversa stanowią nieoceniony wkład w rozwój teorii ewolucji. Wprowadzając perspektywę genu i ukazując jej zastosowanie, przesuwały akcenty z poszczególnych osobników na ich geny. Podążając tą myślą, to nie osobniki ewoluują, jednostkami doboru nie są istoty żywe, ale raczej ich geny. Działania i strategie nie są podejmowane dla dobra gatunku, stada, czy wreszcie

osobnika, ale dla dobra genu. W dyskusji o sensowności pewnych rozwiązań, „dyktat pomyślności genów” staje się zatem czymś na kształt ostatniej instancji.

Nie ma się czego bać!

Psychologii ewolucyjnej, lub bardziej ogólnie – ewolucjonizmowi – towarzyszą nieporozumienia które wymienia David M. Buss¹⁷. Warto przytoczyć tutaj jego stanowisko nieco bliżej i wymienić owe poglądy przedstawiane często jako zarzuty wobec ewolucjonizmu.

- 1) Przekonanie, że zachowanie ludzkie jest w całości zdeterminowane genetycznie. Jest to niepotrzebna skrajność. Dziś już żaden ewolucjonista nie wyklucza niezwykle znaczącej roli środowiska w rozwoju organizmu, w tym i jego zachowań społecznych. Geny w dużym stopniu warunkują nasze instynkty i potrzeby. Instynkt, czy raczej mechanizm umysłowy, nie jest jednak niezmiennym programem, jak wielu powszechnie uważa, ale pewną predyspozycją, czymś, co sprawia, że zachowanie się w określony sposób będzie bardziej prawdopodobne, nabycie zaś pewnej umiejętności – łatwiejsze. Potrzeby mogą być zaspokajane na różne sposoby, których geny wcale nie muszą warunkować. Choć mamy zaprogramowane mechanizmy odczuwania głodu, używanie sztuczków nie jest nam wrodzone!
- 2) Pogląd, że jeśli coś powstało w drodze ewolucji, to nie możemy tego zmienić. Jest to kolejny przejaw skrajnego determinizmu genetycznego, który nie uwzględnia roli środowiska. I znowu należy odwołać się do argumentu głoszącego, że biologiczny program, w który wyposażony jest organizm, nie jest czymś niezmiennym i sztywnym, ale jest raczej zbiorem predyspozycji, preferowanych dróg, którymi rozwój powinien podążać. Najlepszy dowód to różnice pomiędzy bliźniętami jednojajowymi – ten sam genotyp, a jednak można je z powodzeniem odróżnić. W ubogim w zasoby

¹⁷ D. M. Buss, *Psychologia ewolucyjna*, wyd. cyt.

środowisku organizm z „genem wysokiego wzrostu”¹⁸ ma o wiele mniejsze szanse na osiągnięcie niebosiężnych rozmiarów i jeśli taka deprywacja się utrzyma, prawdopodobieństwo jest niewielkie pomimo wspaniałego genetycznego „zaplecza”.

- 3) Twierdzenie, że teoria doboru naturalnego wymaga od organizmów niezwyklej zdolności matematycznych (zarzut chyba najzabawniejszy ze wszystkich). Przykład: jeżeli prawdą jest, co głoszą biolodzy, to organizmy muszą się orientować w skomplikowanych stopniach pokrewieństwa i na podstawie tych wyników „obliczać” sprawiedliwe rozdysponowanie zasobów pomiędzy swych krewnych. Żaden ewolucjonista nie twierdzi, że zwierzęta i rośliny muszą dokonywać jakichś obliczeń. Rezultaty działalności organizmów często dają się opisać matematycznie, ale czy oznacza to, że organizm musi znać matematykę? Co z tego, że w załamania pajęczyny wpisana jest wysoka matematyka? Że złapanie pajączki daje się opisać za pomocą całek? Że kamień spada zgodnie z mechaniką Newtona, a ruchy planet stosują się do ogólnej teorii względności? Znajomości równań Einsteina jakoś nikt od nich nie wymaga. Zwróćmy również uwagę na to, że np. pomoc krewnym najczęściej sprowadza się raczej do pomocy tym osobnikom, z którymi zwierzę spotyka się najczęściej. Im rzadsze spotkania, tym – najprawdopodobniej – mniejszy stopień spokrewnienia. Jak widać, wyjaśnienie to wcale nie implikuje nadzwyczajnych zdolności matematycznych, a co najwyżej statystyczne prawdopodobieństwo.
- 4) Obecnie ukształtowane mechanizmy są doskonałe. Z taką sytuacją nie spotykamy się praktycznie nigdy. Każdy organizm zawsze pozostaje „w tyle” za zmieniającym się środowiskiem, gdyż zmiany środowiskowe następują szybciej, niż widoczne efekty fe-

¹⁸ Jest to oczywiście uproszczenie – niezwykle rzadko zdarza się sytuacja, w której jeden gen decyduje sam o pewnej właściwości, są to raczej grupy genów.

notypowe (czyli w budowie osobników danego gatunku). Prócz tego organizmy uczestniczą w swoistym wyścigu zbrojeń. Jeżeli ofiara wykształca pewien sposób obrony, drapieżca musi wykształcić sposoby przezwyciężenia go. Ten sam mechanizm działa np. wówczas, gdy pojawia się nowa odmiana wirusa, na którą czym prędzej staramy się znaleźć lekarstwo. Goniwa nie ustaje. Pośród konkurujących ze sobą gatunków, wyścig ten jest praktycznie nieskończony, optimum pozostaje poza zasięgiem¹⁹.

- 5) Teoria ewolucji zakłada motywację do maksymalizowania reprodukcji własnych genów. Zdaniem Bussa jest to zbyt proste uproszczenie sprawy. Mało kto w każdym momencie swego życia zastanawia się nad tym, które działanie przyniesie jego genom większy sukces, a które nie. Nasze działania, nawet jeśli do takiego sukcesu zdążają, nie są rezultatem świadomej motywacji do powiększania swojej *inclusive fitness*, ale raczej pozostałością po przodkach, którzy zachowując się w podobny sposób, odnieśli większy sukces niż inni.

Wiemy już, jakich manowców w myśleniu ewolucyjnym musimy się wystrzegać na naszej drodze, która, mam nadzieję, przybliży nam kilka tajemnic funkcjonowania umysłów małych dzieci oraz ich strategii funkcjonowania w grupie społecznej.

Czym świadomość różni się od samoświadomości?

Świadomość i samoświadomość mogą być przedmiotem refleksji socjologa ze względu na rolę, jaką wydają się pełnić w procesach podejmowania decyzji i wyborze zachowań – w tym również zachowań społecznych. Znaczenie tych pojęć

¹⁹ Popularyzator teorii ewolucji, Matt Ridley prawidłowość tę przyrównuje do Czerwonej Królowej z książek Lewisa Carrolla. Była to postać, która, by pozostać w tym samym miejscu, musiała biec co sił w nogach. Zob. M. Ridley, *Czerwona Królowa. Płeć a ewolucja natury ludzkiej*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2001.

będzie ważne również z perspektywy naszych rozważań. Zanim jednak dowiemy się, co na ich temat do powiedzenia ma socjolog, warto – dla porównania – prześledzić rozumienie tych terminów w teoriach badaczy rekrutujących się z takich obszarów nauk przyrodniczych, jak neurobiologia, psychologia, zoopsychologia oraz etologia.

Należy zaznaczyć, że nauki o poznaniu czynią wyraźną różnicę między świadomością i samoświadomością²⁰. Jak zresztą się przekonamy, jest to w pełni logiczne i uzasadnione. Jedna i druga bywa, co prawda, przez wielu uczonych bardzo różnie nazywana, jednak pomimo różnic w nazewnictwie i innego akcentowania poszczególnych kwestii, stanowisko tychże uczonych daje się w pewien sposób ujednoczyć.

Psycholog Euan M. Macphail dokonuje rozróżnienia na świadomość odczuwającą i samoświadomość²¹. Pierwsza, zdaniem Macphaila, jest konieczna, by cokolwiek w ogóle poczuć. Jego zdaniem, istota nieświadoma po prostu... nie czuje niczego! Zapewne nie spodoba się to orędownikom ekologii, ale – zdaniem Macphaila – motyle szamoczące się w momencie, gdy entomolog lub kolekcjoner przekuwają je szpilką tylko zachowują się tak, jak by czuły ból. Nie można jednak tylko z tego powodu wnioskować o rzeczywistym, ś w i a d o m y m odczuciu bólu. Według Macphaila wyjaśnienie jest proste: mózgi tych zwierząt są prawdopodobnie zbyt prymitywne, by rozwinąć najprostszą nawet świadomość. Oddajmy na chwilę głos samemu Macphailowi:

Jeśli nie możemy się przekonać, że organizm doświadcza przyjemności lub bólu, powinniśmy założyć, że nie ma on żadnego doświadczenia – że nie ma świadomości w żadnej postaci. Taki organizm może reagować na bodźce różnego typu, ale wcale nie będzie to oznaczać, że postrzeżga on ten

²⁰ Podejścia, w których terminy te traktowane są zamiennie, są zdecydowanie rzadsze, zob. np. B. Korzeniewski, *Od neuronu do (samo)świadomości*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005.

²¹ E. M. Macphail, *Ewolucja świadomości*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.

bodziec tak, jak my moglibyśmy to czynić – nie bardziej, niż, powiedzmy, kamera wideo postrzega światło, które przekształca w cyfrowy strumień informacji²².

Dlaczego zatem owad tak szaleńczo walczy, skoro nie czuje bólu? Jego reakcja, nawet jeżeli jest pozbawiona wszelkich odczuć, pozostaje całkowicie zrozumiała – delikatny ustrój został gwałtownie zaburzony: ciało zostało przebite na wylot. Nic zatem dziwnego, że fizjologia zwierzęcia oszalała i wyzwoliła całą sekwencję zachowań, które dążą do zredukowania tego niebezpiecznego chaosu. Wniosek z tego taki, że z samych reakcji zwierzęcia nie możemy wnioskować o niczym więcej, jak tylko... o reakcjach. Gdzie indziej czytamy:

Zwierzęta albo mają odczucia, albo ich nie mają. Możemy myśleć, że niektóre odczuwające zwierzęta czują mniej niż my, ale nie wątpimy, że świat jest podzielony na byty, które odczuwają, i byty, które nie odczuwają. Jest to szczególnie ważne, gdy myślimy o przyjemności i bólu – afektywnym aspekcie istnienia. Zwierzę albo odczuwa ból, albo nie²³.

Idąc tropem Macphaila, możemy przypuszczać, że świadomość odczuwająca to nie tylko źródło odczuć przyjemności/bólu, ale również wie d z y, że jest coś takiego, jak zewnętrzny świat, w którym żyjemy, że istnieją bodźce oraz wywoływane przez nie odczucia, niekoniecznie zaś jest to związane z odczuwaniem „ja”. Mówiąc prościej, do odczuwania truskawkowego smaku lodu wcale nie jest nam potrzebne poczucie „ja”. Jedząc smakołyki nie uświadamiamy sobie faktu, że jesteśmy t ą k o n k r e t n ą o s o b ą, z imienia i nazwiska, z dokładną biografią, miejscem w strukturze społecznej etc. Nic z tych rzeczy. Liczy się truskawkowy

²² *Tamże*. Ze stanowiskiem tym zgadza się nawet krytycznie nastawiony do niektórych teorii kognitywistycznych znany filozof umysłu, John R. Searle: „Błędem jest sądzić, iż wiemy o istnieniu stanów mentalnych (...) wyłącznie na podstawie obserwacji (...) zachowania”. Por. J. R. Searle, *Umysł na nowo odkryty*, PIW, Warszawa 1998.

²³ *Tamże*.

smak. Według Macphaila „ja” wcale nie jest potrzebne, by doświadczać koloru, smaku, czy dźwięku. (Na podobnej zasadzie autor oddziela emocję od uczucia: emocja jest pewnym stanem fizjologicznym, uczucie zaś – świadomym korelatem tego stanu). Strach jako emocja jest więc pewnym ciągiem reakcji fizjologicznych i hormonalnych oraz sekwencją pewnych specyficznych ruchów, jednak jako odczucie przekształca się do tego w intensywne i bardzo nieprzyjemne pragnienie zażegnania stresującej sytuacji. Poglądy Macphaila, choć ciekawe i płodne, stanowią niewątpliwie pewną kontrowersję. Jak się jeszcze przekonamy, istnieją rozliczne świadectwa, które świadczyć mogą na rzecz tezy, że zwierzęta jednak przejawiają stany świadome.

Drugim aspektem świadomości, prócz świadomości odczuwającej, jest samoświadomość, która wyposaża nas w zdolność do dokonywania rozróżnienia między nami samymi a resztą otaczającego świata. Przyjmujemy zazwyczaj, że jesteśmy wszystkim, co mieści się pod naszą skórą, a nasze „ja” umiejscowione jest gdzieś za oczami (ciekawe, że osoby niewidome posługujące się dotykowym alfabetem Braille’a odczuwają swoje „ja” w opuszkach palców, a w czasie spacerów – tuż przy podłożu, na czubku łaski dla niewidomych). Jeśli w jakiś sposób utracimy część ciała, wiemy, że owa bezpośrednia integralność została złamana i traktujemy teraz ową część jako element reszty otoczenia, a nie nas samych.

Jednakże wiemy nie tylko to, że posiadamy ciało, (...) ale również to, że mamy (...) szczególną wiedzę o niektórych procesach zachodzących w nas samych. Wiemy, że wiemy pewne rzeczy (...). Wiemy też, że nasz dostęp do tego, co z grubsza można określić mianem „stanów umysłu”, jest uprzywilejowany²⁴.

Antonio R. Damasio, światowej sławy neurobiolog i badacz umysłu, używa dla opisu podobnych zjawisk trochę innych terminów. Macphailowska świadomość odczuwająca zastąpiona zostaje *r d z e n n ą*, samoświadomość natomiast

²⁴ *Tamże*.

to świadomość rozszerzona²⁵. Świadomość rdzenna jest źródłem „poczucia siebie samego” w konkretnym miejscu i czasie, skupia się na chwili bieżącej, na okolicznościach składających się na środowisko, w którym znajduje się osobnik. Sądzę, że twierdzenie Damasio wymaga tu uściślenia. Damasio mówiąc o „poczuciu siebie” nie ma na myśli samoświadomości w zwykłym rozumieniu tego słowa. Stawia on raczej wyraźny akcent na postrzeganie chwili i miejsca, w których znajduje się organizm aniżeli na doświadczenie siebie samego. Wyraźne „poczucie siebie”, czy też „świadomość siebie” jest w tym miejscu o wiele mniej ważna, niż „świadomość miejsca i czasu”. „Poczucie siebie” w rozumieniu Damasio obejmuje tu raczej tzw. emocje tła (np. świadomość pozycji, w której znajduje się ciało) i odczuwanie emocji (bez refleksji nad nimi). Odczuwanie swego ciała bardziej koncentruje się na *somie*, niż *psyche*. Tak rozumianej świadomości towarzyszą bodźce płynące z ciała, proste emocje pierwotne oraz emocje tła, które składają się na nasz nastrój w obecnej chwili.

Nie rozświetla ona przyszłości, a jedynym i słabym cieniem przeszłości, który obejmuje, jest miniona chwila. Nie ma dla niej „gdzie indziej”, „przedtem” ani „potem”²⁶.

Świadomość rozszerzona, z kolei, jest bardziej „wszechstronna” i obejmuje cały szereg aspektów rzeczywistości: wyposaża organizm w wyszukane poczucie siebie samego, swojej tożsamości, osoby, relacji, które łączą nas z bliskimi osobami. Dzięki niej jesteśmy nie tylko świadomi miejsca, w którym przebywamy, ale i innych równoległych miejsc, odczuwamy świadomość chwili, ale i zaistniałej przeszłości. Jesteśmy świadomi naszej indywidualnej, autobiograficznej historii, jak i przewidywanej (również planowanej) przyszłości. Wiemy, gdzie się znajdujemy i tym samym potra-

²⁵ A. R. Damasio, *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2000.

²⁶ A. R. Damasio, *Tajemnica świadomości. Jak ciało i emocje współtworzą świadomość?*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2000.

fimy powiedzieć, gdzie nas nie ma. Gdyby niesłusznie nas posądzono o popełnienie przestępstwa, to właśnie dzięki samoświadomości i pamięci autobiograficznej potrafilibyśmy skonstruować alibi – z jej pomocą wiemy, gdzie i kiedy przebywaliśmy w danym momencie. Przy użyciu świadomości rdzennej skonstruowanie alibi byłoby niemożliwe, gdyż nie skupia się ona na chwilach i miejscach odległych w czasie i przestrzeni.

Świadomość rdzenna jest cechą ściśle biologiczną, niezależną od procesu socjalizacji, nabywania języka, czy od różnych rodzajów pamięci, w które jesteśmy wyposażeni. Najprawdopodobniej posiadają ją również pewne gatunki zwierząt. Świadomość rozszerzona jest natomiast zjawiskiem wielopoziomowym, zmiennym, ewoluującym w ciągu życia organizmu. Wymaga pamięci, a jej możliwości są znacząco poszerzone w momencie przyswojenia języka i posługiwania się nim.

Gdy myślimy o chwale, jaką niesie ze sobą świadomość, i kiedy postrzegamy ją jako cechę wybitnie ludzką, to mamy na myśli świadomość rozszerzoną w jej szczytowych przejawach²⁷.

Dwóm typom świadomości odpowiadają analogicznie dwa typy „ja”. „Ja” rdzenne ma charakter przejściowy, tymczasowy, odtwarzamy je na potrzeby chwili i każdego obiektu, który przez pewien moment zajmuje naszą uwagę. Z pojęciem świadomości rozszerzonej łączy się „ja” autobiograficzne, czyli zbiór usystematyzowanych wspomnień z sytuacji, w których braliśmy udział. Składa się na nie również taka wiedza, jak to, kim są nasi rodzice, kiedy i gdzie przyszliśmy na świat, gdzie chodziliśmy do szkoły, czego nie lubimy, za czym przepadamy, jak mamy na imię, czego możemy się spodziewać po sobie w określonych sytuacjach, a kiedy jesteśmy zupełnie nieprzewidywalni... Różnicę w rodzajach „ja” łatwiej nam będzie uchwycić, gdy uświadomimy sobie, że „ja” rdzenne to w większym stopniu poczucie naszego ciała, „ja” autobiograficzne to z

²⁷ A. R. Damasio, *Tajemnica świadomości*, wyd. cyt.

kolei wrażenie bycia konkretną osobą o określonych cechach. „Ja” rdzenne to poczucie odrębności od otoczenia, „ja” autobiograficzne zaś to wrażenie trwania i posiadanie indywidualnej historii. Jeżeli pojęcia te w dalszym ciągu budzą wątpliwości, oddajmy na chwilę głos jednemu z najznamienitszych znawców ludzkiej duszy, Fiodorowi Dostojewskiemu. Popatrzmy, jak „ja” autobiograficzne i samoświadomość funkcjonują w przypadku Mitii Karamazowa, bohatera skazanego w procesie o ojcoobójstwo:

Cóż mam powiedzieć, panowie przysięgli! Przyszedł sąd na mnie, czuję nad sobą prawicę Bożą. Koniec z hultajskim życiem! Ale jak Bogu na spowiedzi mówię wam: „Śmierci ojca mego – nie, nie jestem winien!” Powtarzam po raz ostatni: „Nie ja zabiłem”. Byłem hultajem, ale kochałem dobro. Każdej chwili obiecywałem poprawę, a żyłem jak dzikie zwierzę. Dziękuję panu prokuratorowi, powiedział mi o mnie wiele rzeczy, o których nie wiedziałem, ale to nieprawda, że zabiłem ojca, prokurator się myli! Dziękuję też obrońcy, słuchałem go, płacząc, ale to nieprawda, że zabiłem ojca, nie trzeba było tego zakładać! A doktorom nie wierzcie, jestem zdrów na umyśle, ciężko mi tylko na duszy. Jeżeli okażcie mi łaskę, jeżeli mnie uniewinnicie – pomodłę się za was. Będę lepszym człowiekiem, damę słowo, damę słowo przed Panem Bogiem. A jeżeli mnie skażecie – sam nad własną głową złamię szpadę, a kiedy złamię, ucałuję jej szczątki! Lecz okażcie łaskę, nie odbierajcie mi Boga mego, znam siebie: zacznę szemrać! Ciężko mi na duszy, panowie... okażcie łaskę!²⁸

Ta próbka mistrzowskiej prozy wyjaśnia nam, co znaczy „chwała samoświadomości”, o której wcześniej wspominał Antonio Damasio: Mitia, tak jak my wszyscy, potrafi cofać się w pamięci do miejsc, w których przebywał, odnieść podejrzenia przysięgłych i prokuratora do swoich przekonań, dokonać refleksji nad swoim dotychczasowym życiem. Rozumie, co go czeka, ale obiecuje poprawę i błaga o litość. Mało tego! Sam dokonuje wglądu w stan swojego umysłu i stwierdza, że jest całkowicie poczytalny, zna również swój charakter – wie, że zacznie „szemrać”, a więc sam siebie się

²⁸ F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*, Znak, Kraków 2004.

obawia. Takich wniosków nie wyciągnie stworzenie wyposażone tylko w świadomość rdzenną. Tu nie wystarczy jedynie skupienie na obecnej chwili, potrzebna jest świadomość tego, co wcześniej nas spotkało i co może się przytrafić w przyszłości bliskiej i dalszej. Oto struktura, którą nazwać możemy „wyszukanym poczuciem siebie”.

Gerald M. Edelman, neurobiolog i filozof, stosuje nieco inną typologię. Wyróżnia świadomość pierwotną oraz świadomość wyższego rzędu. Co się tyczy tej pierwszej, wychodzi on z założenia, że o ile w przypadku organizmów nie posiadających świadomości, możliwe jest uczenie się, o tyle u tych bardziej złożonych (świadomych),

które mają system korowy, kategoryzacje oddzielnych, przyczynowo nie połączonych elementów świata mogą być skorelowane w scenę (...) [czyli] czasowo i przestrzennie uporządkowany zbiór kategoryzacji znanych i nieznanych wrażeń²⁹.

Używając języka bardziej potocznego oznacza to mniej więcej tyle, że zwierzęta nieświadome mogą się uczyć tylko na zasadzie sztywnej tresury, nie mając przy okazji zielonego pojęcia, po co się uczą i na czym ich rola w całym tym zamieszaniu polega. Umysł świadomy potrafi zdecydowanie więcej – oprócz nauki za pomocą prostej tresury, klasyfikuje on otoczenie i znajdujące się w nim przedmioty według pewnych kategorii. Na dodatek, tworzy na swój użytek reprezentacje świata. Ten wewnętrzny, fragmentaryczny obraz otoczenia pomaga mu nawigować, umożliwia skuteczne kierowanie uwagą i korygowanie drobnych błędów. Proces uczenia się staje się bardziej precyzyjny. Dla przykładu, to właśnie dzięki świadomości wiewiórki są w stanie odnaleźć poukrywane po całym lesie orzechy. Takim wiewiórczym umysłem brak jednak poczucia „ja”. Pamiętają, gdzie poukrywane są smakołyki, jednak bardzo wątpliwe, czy w podobnym stopniu wiedzą, kiedy je tam

²⁹ G. M. Edelman, *Przenikliwe powietrze, jasny ogień. O materii umysłu*, PIW, Warszawa 1998.

ukrywały lub nawet czy zrobiły to one same! Trudno nam sobie wyobrazić świat widziany oczami wiewiórki, gdzie sporą część stanowią miejsca, w których można znaleźć orzechy, prawdopodobne jednak, że w umyśle wiewiórki pojawia się pewne wspomnienie, obraz czy cel, który aktywuje określone zachowania. Podobnie zachowujemy się my sami: kiedy nasz umysł owładnięty jest np. uczuciem okropnego pragnienia i jedyna rzecz, o jakiej marzymy, to szklanka zimnego soku, coli czy piwa, to będąc w domu nie zastanawiamy się nad drogą, jaką pokonać musimy z pokoju do lodówki, gdzie stoi nasz ulubiony napój. Mija kilka chwil i nagle spostrzegamy, że oto stoimy z pełną szklanką w ręce. Pojawia się określony cel, reszta, o ile jest dobrze zapamiętana i wyuczona – robi się sama. Dlaczego u wiewiórek miałyby to wyglądać inaczej? Odnajdywanie orzechów, wokół których kręci się spory kawałek ich życia, może zachodzić na podobnej zasadzie.

Jednak zwierzęta takie, ponieważ nie mają pojęcia „ja”, są w pewnym sensie więźniami chwili bieżącej. Dzieje się tak dlatego, że umysły „tylko” świadome postrzegają nie więcej niż małe, kilkusekundowe odcinki czasu. Przed-teraz-po. To za mało, by tworzyć hipotetyczne modele przeszłości i przyszłości, w tym swojej własnej autobiografii. Gdyby zaszła taka konieczność, wiewiórka nigdy nie mogłaby odszukać swojego alibi. Świadomość w umyśle takiego zwierzęcia jest niczym snop światła oświetlający mały fragment sceny. W tym czasie inne szczegóły uciekają, pograżają się w mroku. Dlatego też Edelman używa w tym miejscu terminu „pamiętana terażniejszość”³⁰. Działanie takiego reflektora przychodzi mi na myśl, gdy obserwuję ptaki – wróble albo gołębie. Mają one to do siebie, że zawsze nerwowo „rozglądają się” dokoła i gwałtownie, w ułamku sekundy odwracają wzrok w inne miejsce, zupełnie tak, jakby chciały ogarnąć całość, niestety, bezskutecznie.

Świadomość wyższego rzędu, to zdolność o jeszcze większym stopniu zaawansowania, a więc nie tylko świadomość świata, ale również „świadomość bycia świadomymi”.

³⁰ *Tamże.*

Żeby to osiągnąć, systemy pamięci muszą być odniesione do pojęciowej reprezentacji prawdziwego 'ja' (społecznej tożsamości), oddziałującego na środowisko i poddanego jego działaniu. Musi powstać model pojęciowy tożsamości oraz model przeszłości³¹.

„Model przeszłości” może nasuwać nam od razu skojarzenia z Damasiowskim „ja” autobiograficznym. Samoświadomość przestaje być już tylko i wyłącznie „pamiętaną terażniejszością”. Przeprowadźmy mały myślowy eksperyment. Czy gdyby nasz np. gołąb wyposażony został w poczucie „ja”, nadal energicznie rozglądałby się na wszystkie strony? Czy tak zachowują się istoty samoświadome? Intuicja podpowiada, że zamiast nerwowo przerzucać wzrok z miejsca na miejsce, wytworzył w mózgu reprezentację całego otoczenia (całej sceny), łącznie z nim samym pośrodku. Podobnie my – idąc po mieście nie musimy co chwila oglądać się za siebie, czy dookoła. Nasza pamięć, jeżeli tylko chcemy, informuje nas o tym, co możemy tam znaleźć i jaka jest nasza pozycja względem pozostałych obiektów. Konsekwencje posiadania takich możliwości są nie do przecenienia: umożliwia nam to aktywne planowanie działań, przewidywanie zdarzeń w nadchodzącej przyszłości oraz wprowadzanie poprawek do już poczynionych planów. Wzrok przerzucimy dopiero wtedy, gdy coś przyciągnie naszą uwagę, lub gdy w pamięci natrafimy na białą plamę, którą trzeba będzie uzupełnić. Myślę, że i tutaj z pomocą może nam przyjść metafora kryminalna: morderstwo w afekcie to idealny przykład dla zobrazowania działania świadomości, akcja dzieje się tu i teraz, jednostka działa pod wpływem impulsu i skoncentrowana jest tylko na wybranym fragmencie rzeczywistości, jej działanie jest precyzyjne i skuteczne, ale nie uświadamia sobie dalekosiężnych konsekwencji swego czynu. Taka zbrodnia to domena prostszych umysłów, zwierzęta (może z wyjątkiem naczelnych) nie są w stanie planować złożonych działań i dlatego walka, którą podejmują, dotyczy chwili obecnej. Dwa psy zajadłe walczą o kość, którą leży tuż obok, dwie jaszczurki o dostęp do samicy czekającej nieopodal na

³¹ *Tamże.*

zwycięzcę lub terytorium, na którym obie znalazły się w tym samym czasie. Żadne z tych zwierząt jednak nie miało tego wcześniej „w planie”. Zdecydowały o tym warunki sytuacyjne. Morderstwo z premedytacją to zupełnie inna sprawa: jest to dokładnie zaplanowane działanie, które stara się uwzględnić każdy szczegół, strategia opiera się zatem na reprezentacjach przyszłości i ogólnych obrazach, a nie małych, wyselekcjonowanych fragmentach. Z typami pamięci jest podobnie: pojęcie „pamiętanej terażniejszości” albo „dyktatu chwili bieżącej” świetnie pokrywa się z rolą, jaką odgrywa pamięć krótkotrwała. To jakby RAM naszego umysłu, pamięć operacyjna, mocno ograniczona, zdolna pomieścić od 5 do 9 elementów czy „bitów”. Mogą to być wyrazy, sylaby, liczby, symbole, jednak jej działanie również ogranicza się tylko do terażniejszości. Po mniej więcej 30 sekundach ponowne przywołanie kilku z pamiętanych wcześniej liczb czy sylab zaczyna nam sprawiać problem – przestały bowiem być chwilą bieżącą. Z kolei świadomość wyższego rzędu to nie tylko wąska pamięć krótkotrwała, ale przede wszystkim – pamięć zdarzeń z przeszłości (epizodyczna), w tym dotycząca nas samych (autobiograficzna), której „przestrzeń dyskowa” to niezliczone gigabajty.

Ciekawe wnioski na temat świadomości i jej roli w życiu osobnika wysnuć można z rozważań wybitnego zoologa i etologa kognitywnego, Donalda R. Griffina. W pracy „Umysły zwierząt”³², która stanowi znakomitą przeciwwagę dla skrajnych poglądów Macphaila, prezentuje on, jak na zoologa przystało, niezliczone dowody na to, że zwierzęta faktycznie posiadają świadomość. Według niego, liczne gatunki posługują się najprzeróżniejszymi formami myślenia i wnioskowania o otoczeniu, o które nawet nie przyszłoby nam do głowy je posądzać! Za oznaki świadomości uznaje on cały szereg działań, takich, jak złożone zachowania komunikacyjne, np. taniec pszczół. Jako socjolog, muszę jednak nadmienić, że jest sprawą dyskusyjną zaliczanie przez Griffina do komunikacji symbolicznej również tańca

³² D. R. Griffin, *Umysły zwierząt. Czy zwierzęta mają świadomość?*, GWP, Gdańsk 2004.

robotnicy pszczoły miodnej, którego forma wskazuje innym robotnikom drogę do bogatych w nektar kwiatów. Taniec i droga do kwiatu to nie to samo – twierdzi Griffin – tak jak słowo wobec zjawiska, które oznacza. A zatem – prowadzi swój wywód Griffin – pszczoły w pewien sposób używają symboli i zdolne są je interpretować. Niestety, kłóci się to z podstawową definicją symbolu, jaka dominuje w antropologii kulturowej, mianowicie tą, która stwierdza, że symbol, w stosunku do swego desygnatu jest ustalony arbitralnie. Gdyby pszczoły ustalały owe „symbole” arbitralnie, każde ich skupisko używałoby innego systemu znaków dla opisu drogi do kwiatu. Tak się oczywiście nie dzieje, ponieważ taniec jest systemem niearbitralnych znaków, czyli takich, które nie podlegają żadnej dyskusji. Odkrycie różnic w tańcu pszczół ze względu na miejsce występowania roju mogłoby oznaczać olbrzymi przełom w pojmowaniu przez nas umysłowości zwierząt. Taniec został jednak doskonale opisany, a jego forma nie różni się ze względu na ul czy całą pasiekę. Nie widzę więc przeszkód, by ową pszczelą predyspozycję uznać za mechanizm determinowany genetycznie, niewymagający, jak sugeruje Griffin, świadomego namysłu ani komunikacji symbolicznej³³. Prócz nich przytacza rzeczywiście zdumiewające przykłady przeróżnych budowli czy przemyślnych technik polowań, które zmuszają nas do stwierdzenia, że nie mogą być one rezultatem prostych, sztywnych mechanizmów, ale raczej uważnego namysłu wymagającego planowania i współdziałania. Co ważne, Griffin uświadamia nam, że nawet wśród „bardzo prostych” zwierząt istnieją zachowania zachwycające swą precyzją i „przemysłnością”. Oto przykład:

Pajaki są bardzo zróżnicowaną grupą: niektóre chwytają ofiarę w ruchu, inne – te bardziej nam znane – przędą sieć. Chociaż myślimy o nich tak jak o innych owadach, jako o

³³ Więcej na temat pojęcia i roli symbolu w kulturze: W. J. Burszta, *Antropologia kultury. Tematy, teorie, interpretacje*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 1998; B. Olszewska-Dyoniziak, *Zarys antropologii kultury*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1996.

genetycznie zaprogramowanych mechanizmach, wszechstronność ich zachowań związanych z polowaniem rywalizuje z wszechstronnością ssaków. Szczególnie pomysłowe w swych zachowaniach związanych z polowaniem są skaczące pająki z rodzaju *Portia* (skakuny) (...). Pająki te często żywią się pająkami przędącymi sieci. Aby je upolować, wchodzą do sieci i wabią ofiary, naśladując ich sygnały wibracyjne, które są częścią zachowań godowych. Napastnik stosuje rozmaite wibracje, które przesyła przez pajęczynę ofiary, wprowadzając różne subtelne zmiany; niekiedy zaczyna od wysłania wielu rozmaitych sygnałów, a gdy któryś wywołuje odpowiedź ze strony ofiary, powtarza sygnał i zwabia ją na skraj sieci. To tylko jedna pośród wielu taktyk polowania, stosowanych przez różne gatunki rodzaju *Portia*. Gdyby mały robiły to, co robią te pająki, poczulibyśmy bardzo silną pokusę, by stwierdzić, że ich działania są intencjonalne³⁴.

Inny przykład wyrafinowanej techniki oferują nam pluskwiaki:

Pewne drapieżne pluskwiaki z tropikalnych rejonów Ameryki łowią termyty za pomocą ciał swoich ofiar, czyli na przynętę. Owady te przygotowują dwa różnego rodzaju narzędzia do chwytania termitów. Najpierw zdejmują część zewnętrznej powierzchni gniazda termitów i układają ją na powierzchni własnego ciała. To najwyraźniej staje się skutecznym kamuflażem zarówno dotykowym, jak i węchowym. Następnie chwytają jednego termita, wysysają go, i tak spreparowany korpus zawieszają u wejścia do gniazda. To przyciąga inne termyty – owady podchodzą i wtedy zostają złapane. Obserwowano jak dzięki zastosowaniu kamuflażu i przynęty pluskwiak zabójca zjadł 31 termitów robotnic³⁵.

W innym miejscu czytamy o niebywałych metodach polowania jednego z gatunków pelikana:

Była to ponad setka ptaków formujących szereg, nurkujących w kierunku brzegu w płytkiej wodzie. Oba końce tego szeregu przesuwały się niespiesznie, w doskonałym porządku.

³⁴ *Tamże.*

³⁵ *Tamże.*

Ostatecznie uformowały półksiężyc i każdy ptak utrzymywał wyznaczone stanowisko, a kiedy głębokość wynosiła zaledwie pół metra, dwa rogi półksiężyca przyspieszyły, zamykając obwód, w którym ptaki prawie się stykały. Wewnątrz tego koła woda kipiała od małych rybek. Głowy raz po raz zanurzały się jednocześnie, worki wypełniały się rybami, przy czym obwód koła cały czas był zamknięty, a łapy pod wodą ciężko pracowały, by nie pozwolić uciec rybom poza linię wyznaczoną przez ciała ptaków³⁶.

Widzimy zatem, że Donald Griffin dopatruje się śladów świadomości pośród tych zwierząt, które zdolne są do wysublimowanych działań. Nie odmawia świadomości nawet tak prymitywnym mózgom jak te, których używają owady i pająki. Mało tego, jego zdaniem myślenie świadome stanowi funkcję pierwotną całego układu nerwowego. Zwierzę, które jest wyposażone w takie zdolności, potrafi myśleć na temat alternatywnych rozwiązań i wybrać zachowanie, które według niego przyniesie pożądany skutek. Funkcją świadomości percepcyjnej (albowiem i Griffin dokonuje na łamach swej pracy pewnej typologii) jest zatem myślenie o tym, co postrzegane i przewidywanie najbliższej przyszłości, obejmujące swym zasięgiem nie więcej niż kilkanaście czy kilkadziesiąt sekund. Kolejny raz pojawia się zatem świadomość chwili i specyfiki otaczających warunków.

Zwierzę może myśleć świadomie o czymś, a nie tylko ulegać wpływowi tego czegoś lub reagować na to bez świadomego zdawania sobie sprawy z istnienia i skutków istnienia tego czegoś³⁷.

Według Griffina zwierzę posługujące się świadomością percepcyjną jest świadome swoich działań, nie ma jednak pojęcia o swych myślach, czy uczuciach, które motywują do danego działania. Innymi słowy, może być przestraszone,

³⁶ Tamże, za: R. Meintertzhagen, *Pirates and predators: The piratical and predatory habits of birds*, Oliver and Boyd, Edinburgh 1959.

³⁷ Tamże.

czuć strach, głód, ciekawość, ale w żaden sposób nie jest zdolne do świadomej refleksji nad swym życiem wewnętrznym. Nie wie, że to, co czuje, to strach. Nie wie, czym strach różni się od głodu, nie potrafi zastanawiać się nad tymi odczuciami tak, jak robimy to my bez większego problemu. A właśnie taka refleksja jest istotą świadomości introspekcyjnej, jest to swego rodzaju metaświadomość, czyli podobnie jak u Geralda Edelmana, świadomość bycia świadomym (*conscious awareness*)³⁸.

Zaprezentowane tu pokrótce stanowiska nie miały na celu ukazania całości dyskusji na temat różnic w pojmowaniu świadomości i samoświadomości. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że pomysłów na nazewnictwo jest tyle, ilu badaczy. Chciałem jedynie pokazać, że w gruncie rzeczy stanowiska poszczególnych uczonych są podobne. Opierają się na tych samych założeniach, bazują na podobnych obserwacjach i prowadzą do zbliżonych wniosków. Dla nas najważniejszym jest, by zdać sobie sprawę z różnic pomiędzy świadomością i samoświadomością. W potocznym języku są to bowiem terminy często traktowane zamiennie, a w naszych rozważaniach stałoby się to powodem niemałego zamieszania. W tym momencie, zanim przejdziemy do następnego rozdziału, warto pokusić się o pewną próbę syntezy tych poglądów i przeciwstawienie cech świadomości i samoświadomości obecnych w każdej z przedstawionych przed chwilą wizji teoretycznych.

	Świadomość (świadomość odczuwająca, rdzenna, pierwotna, percepcyjna)	Samoświadomość (świadomość rozszerzona, wyższego rzędu, introspekcyjna)
Funkcje, cechy szczególne	<ul style="list-style-type: none"> • konieczna, by cokolwiek w ogóle poczuć 	<ul style="list-style-type: none"> • umożliwia rozróżnienie między nami samymi, a resztą świata

38 *Tamże.*

	Świadomość	Samoświadomość
Funkcje, cechy szczególne	<ul style="list-style-type: none"> • źródło wiedzy, że jest coś takiego jak świat, bodźce, odczucia, niekoniecznie zaś jest to związane z odczuwaniem „ja” • skupiona jest na chwili bieżącej, na okolicznościach składających się na środowisko, w którym znajduje się osobnik • cecha ściśle biologiczna, niezależna od procesu socjalizacji, języka, czy rodzajów pamięci • „ja” rdzenne ma charakter przejściowy, chwilowy, tworzony na potrzeby chwili i każdego obiektu, który zajmuje uwagę organizmu • umożliwia ona skuteczne kierowanie uwagą, korygowanie drobnych błędów, jest niczym snop światła oświetlający mały fragment sceny • zaangażowana pamięć krótkotrwała 	<ul style="list-style-type: none"> • źródło szczególnej wiedzy o niektórych procesach zachodzących w nas samych, „świadomość bycia świadomymi”. Wiemy, że wiemy pewne rzeczy • wyposaża organizm w „wyszukane” poczucie siebie, swojej tożsamości, osoby • nie tylko świadomość chwili, ale i zaistniałej przeszłości, w tym indywidualnej, autobiograficznej historii, jak i przewidywanej (również planowanej) przyszłości • zjawisko wielopoziomowe, zmienne, ewoluujące w ciągu życia organizmu. Wymaga pamięci, a jej możliwości są znacząco poszerzone w momencie przyswojenia i posługiwania się językiem • „ja” autobiograficzne, które „opiera się na usystematyzowanych wspomnieniach sytuacji, model tożsamości i przeszłości • zaangażowana pamięć autobiograficzna

Niezbędna dygresja: czy możemy utożsamić samoświadomość z jaźnią?

Zgodnie z wnioskami sformułowanymi powyżej, samoświadomość jest niezbędna do wykształcenia poczucia siebie, swojej tożsamości, czy planowania przyszłości. Jednocześnie są to elementy, które zapewniają nam sprawne funkcjonowanie w otoczeniu społecznym. Ono również wyposaża nas w szereg komponentów, które z czasem uznamy za integralne części swojego „ja”. Można by tu sparafrazować twierdzenie Gerge’a Herberta Meada, jednego z pionierów badań nad społecznym rozwoju człowieka: „poza procesem komunikacji psychika nie istnieje”³⁹ i powiedzieć: „poza procesem komunikacji samoświadomość nie istnieje, albo raczej nie jest potrzebna”. Badacze zachowań społecznych zapewne zgodziliby się z takim potraktowaniem fenomenu ludzkiej samoświadomości. Nie oznacza to niestety, że nie występują tu pewnie nieporozumienia. Dlatego też chciałbym podkreślić, że samoświadomość, rozumiana tak, jak definiują ją współczesne nauki kognitywne, nie może być całkowicie utożsamiana z „jaźnią” w takim sensie, jaki pojęciu temu nadają socjologowie. Ja i jaźń, zgodnie z założeniami kierunku zwanego interakcjonizmem symbolicznym, to swoisty kompleks cech właściwych jednostce i przekonań na swój własny temat. Psychologowie zapewne woleliby jaźń widzieć jako przedmiot badań wyłącznie psychologii, jednak również socjologia pojęcie to uważa za niezmiernie ważne dla rozważań nad społecznym rozwojem jednostki. Zgodnie z twierdzeniami prekursorów interakcjonizmu takimi jak G. H. Mead czy Ch. H. Cooley⁴⁰, jaźń jest w dużej mierze tworem społecznym, który niejako wyłania się dzięki interakcji z innymi i może być rozu-

³⁹ J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, Wydawnictwo PWN, Warszawa 2002.

⁴⁰ Por. np. G. H. Mead, *Umysł, osobowość, społeczeństwo*, PWN, Warszawa 1975; J. Mucha, *Cooley*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1992.

miana jako zespół uświadamianych sobie przez jednostkę ról, które ta gotowa jest przyjąć w określonej sytuacji społecznej. Tak rozumiana jaźń jest zatem w pewnym sensie wynikiem działania samoświadomości, czy też wiedzą, jaką posiadamy na swój temat. Istnieje również pojęcie tzw. jaźni odzwierciedlonej, czyli zbioru przekonań na temat tego, co inni sądzą na nasz temat. Jaźń w takim ujęciu nie jest zatem procesem uświadamiania sobie czegokolwiek, jest raczej wiedzą. Samoświadomość z kolei nie stanowi kompleksu cech, hipotez czy osądów dotyczących naszej osoby, ale jest pewnym aktem poznania, spostrzeżeniem, zadaniem pytania o nas samych, naturę naszych umysłów. Dla zarysowania istoty tego rozróżnienia, z poziomu zjawisk psychicznych zejdźmy na chwilę do poziomu ściśle biologicznego. Samoświadomy człowiek przypomina trochę medyka, który sam dla siebie jest pacjentem. Fakt, że bada swoje ciało, przypomina omawianą przez nas samoświadomość. Ów człowiek wie, że jego ciało może stać się przedmiotem badania. Z kolei wiedza, którą gromadzi, uzupełnia i weryfikuje w trakcie dalszych badań, jest odpowiednikiem jaźni. Stanowi rezultat jego samoświadomości.

W rozumieniu współczesnej psychologii, samoświadomość w przeciwieństwie do jaźni jest więc pewnym procesem, który pozwala nam potraktować siebie samych jako przedmiot refleksji, natomiast jaźń to wynik tej refleksji. Świetną, pełniejszą definicję samoświadomości, w której akcent położony jest właśnie na jej dynamiczny i badawczy charakter, podaje Gerald M. Edelman. Pozwolę sobie przytoczyć ją w całości.

Świadomość wyższego rzędu [a więc samoświadomość – T.K.] wymaga rozpoznania przez podmiot myślący swoich własnych działań czy emocji. Jest ona realizacją modelu osoby, a także przeszłości i przyszłości; jest także bezpośrednim zdawaniem sobie sprawy z epizodów umysłowych bez udziału narządów zmysłów czy receptorów. To jest właśnie cecha, której nie ma świadomość pierwotna. Jesteśmy świadomi bycia świadomymi.⁴¹

⁴¹ G. M. Edelman, *Przenikliwe powietrze, jasny ogień. O materii umysłu*, wyd. cyt.

Warto, byśmy zdali sobie sprawę z tego rozróżnienia, ponieważ problem formowania się jaźni będzie przewijał się do końca naszych rozważań. W następnych rozdziałach będziemy mieli okazję przyjrzeć się przykładom zachowań, które przybliżą nas do zrozumienia „świata bez jaźni”, czyli krainy umysłów nie-samoświadomych. Być może pozwoli to nam wyobrazić sobie, jak wyglądał w naszym umyśle świat, zanim staliśmy się samoświadomi i zanotowaliśmy swoje pierwsze wspomnienie?